

NAKLAD 31000 EGZ.

CENA 1.20 ZŁ

MORZA

ORGAN LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

Z dodatkiem „PIONIER KOLONJALNY” w tekturce



Znaleziono na: www.magemar.com.pl



NA OKU

PAŹDZIERNIK

1932 r.

ZESZYT 10

2—16. X. 1932 DWUTYDZIEŃ PROPAGANDOWY
LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ
WSZYSCY DO SZEREGÓW LIGI!

„ŻEGLUGA POLSKA”

SPÓŁKA AKCYJNA

G D Y N I A.

tel. adr. „Polmorsk” — Gdynia

telefony: 1030, 1031, 1032, 1033.

PRZEWÓZ TOWARÓW MASOWYCH POMIĘDZY WSZYSTKIMI PORTAMI ŚWIATA.

Regularne tygodniowe połączenia statkami TOWAROWO-PASAŻERSKIMI z Tallinnem, Helsingforem i Rotterdamem, oraz dwutygodniowe z Wyborgiem i Antwerpią.

Pasażerskie linie regularne pomiędzy Gdynią, Sopotami, Helem i Jastarnią, utrzymywane szybkobieżnymi salonowymi statkami.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



FLOTA PRZEDSIĘBIORSTWA:

STATKI TOWAROWE:

s.s. „Niemen”	5100 T.D.W.	s.s. „Poznań”	3000 T.D.W.
„Wisła”	5100	„Toruń”	3000
„Warta”	4200	„Wilno”	3000
„Katowice”	3000	„Chorzów”	1350
„Kraków”	3000	„Tczew”	1020

STATKI TOWAROWO — PASAŻERSKIE:

s.s. „Śląsk”	1515 T.D.W.	s.s. „Cieszyń”	1515
--------------	-------------	----------------	------

STATKI PASAŻERSKIE:

s.s. „Gdynia”	585 G.R.T.	s.s. „Jadwiga”	270 G.R.T.
„Gdańsk”	547	„Wanda”	270

WSZELKICH INFORMACYJ UDZIELAJĄ:

W G D Y N I — „ŻEGLUGA POLSKA”, Sp. Akc.
Linie Regularne tel. 1031.

W G D A Ń S K U — POLSKA AGENCJA MORSKA
Elisabethwall 4, tel. 23951

W W A R S Z A W I E — Reprezentacja Sp. Akc. „ŻEGLUGA
POLSKA”

Marszałkowska 116, tel. 547-47, 547-48.

 BILETY NA STATKI LINIJ REGULARNYCH 

SPRZEDAJĄ:



WAGONS-LITS-COOK,
ORBIS i FRANCOPOL.

MORZE

ORGAN • LIGI • MORSKIEJ • KOLONJALNEJ

Nr. 10

Warszawa, październik 1932 rok.

Rok IX.

TREŚĆ NUMERU: 1. Dwutydzień propagandowy Ligi Morskiej i Kolonjalnej; 2. Gdańskie Locarno — Tadeusz Ehrenberg; 3. Jadwite ulotki; 4. Żwirko i Wigura; 5. Obława na biegun — J. H-ski; 6. Pierwsza wizyta floty polskiej w Stockholmie 25. VIII — 29. VIII. 1932 — T. S.; 7. Najpilniejsze potrzeby żeglugi śródlądowej — M. Niedźwiałowski; 8. Spławaczka w Beskidach Wschodnich (C. d.) — Henryk Gąsiorowski; 9. Prasa czechosłowacka o „Święcie Morza”; 10. Pierwsze w Polsce regaty kajaków; 11. Regaty Yacht Klubu oddziału L. M. i K. w Modlinie; 12. Regaty w Stavanger; 13. Zgon hr. Graviny; 14. Kronika; 15. Książki i czasopisma nadesłane; 16. Dział Oficjalny L. M. i K. PIONIER KOLONJALNY: 17. Handel Polski z krajami pozaeuropejskimi — Dr. W. Rosiński; 18. Stefan Rogoziński — Stanisław Zieliński; 19. Polskie wychodźstwo w Kanadzie — Dr. Nałęcz-Dobrowolski; 20. Zdobycze i troski Polonii zamorskiej — Kazimierz Zieleniewski; 21. Pionierskie dole i niedole na farmie afrykańskiej (C. d.); 22. Przegląd Kolonjalny — Fr. Łyp; 23. Liczba Polaków w Stanach Zjednoczonych — C. Łukaszewicz; 24. Słownik biograficzny podróżników i eksploratorów polskich — Stanisław Zieliński; 25. Przygody Krzysztofa Arciszewskiego — Jako Imię Arciszewski z rodakiem Smętkiem się spotkał i co z tego wynikło — Jerzy Bohdan Rychliński; 26. Kronika kolonjalna.

20 FOTOGRAFIJ I RYSUNKÓW W TEKŚCIE.

DWUTYDZIEŃ PROPAGANDOWY LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

Poczynając od dnia 2 do dn. 16 października r. b., odbędzie się na terenie całej Polski „dwutydzień propagandowy „Ligi Morskiej i Kolonjalnej, w którym wezwą udział wszystkie placówki naszej organizacji.

„Dwutydzień“ tegoroczny stanowić będzie niejako logiczne i naturalne uzupełnienie „Święta Morza“. Celem Święta było danie wyrazu jednomyślnej postawie polskiego społeczeństwa, jeśli chodzi o organiczny związek Pomorza z Polską oraz potrzebie kontynuowania i umocnienia naszego dorobku na wybrzeżu. Zadaniem dwutygodnia jest dotarcie do szerokiego ogółu polskiego, uświadomienie mu wagi naszego programu, który w imię dobra państwa winien być zrealizowany.

Cele konkretne dwutygodnia, to dalsze powiększenie zasięgu or-

ganizacyjnego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, zyskanie poparcia społeczeństwa, wyrażającego się wzrostem liczby członków i Oddziałów, danie głosu opinii społecznej w sprawach morza oraz naszej ekspansji zamorskiej, bez której nie będziemy mogli istnieć, jako naród naprawdę wielki, dla którego posiadanie terenów pod nieskrępowaną ekspansję ludzką i gospodarczą staje się życiową koniecznością. Chodzi wreszcie o zdobycie funduszy na rzecz naszej akcji kolonjalnej, Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku oraz „Domów Marynarza“ w Gdyni i w Gdańsku.

Każdy z tych celów nie wymaga komentarzy, ani tłumaczeń. Wynikają one z istoty naszego programu, z charakteru Ligi, jako organizacji społecznej. Idąc na teren Parany, tworząc nowe za- stępy pionierów polskiej pracy za-

Oceanem, pracy wykonywanej w imię dobra całego polskiego ogółu, umacniając oświatę polską w Gdańsku, roztaczając opiekę nad polskim marynarzem, spełniamy tylko część licznych obowiązków, ciążących na Lidze.

Ciężar przeprowadzenia „dwutygodnia propagandowego“ leży w pierwszym rzędzie na Oddziałach L. M. i K. Zarząd Główny i Okręgi dadzą im niezbędną pomoc i inicjatywę. Nie wątpimy ani na chwilę, że „Dwutydzień Propagandowy L. M. i K.“ w roku bieżącym wypadnie w całej Polsce niemniej imponująco, jak w latach minionych, dając jeszcze jeden dowód siły i spójności naszej organizacji, jakoteż odczucia przez społeczeństwo znaczenia sprawy polskiego morza, żeglugi śródlądowej oraz naszej ekspansji zamorskiej dla Państwa.

GDAŃSKIE LOCARNO

Dnia 13 sierpnia r. b. p. dr. Ziehm, w imieniu zarządu wolnego miasta Gdańska, złożył na ręce Generalnego Komisarza Rzeczypospolitej Polskiej, p. ministra

Papée, deklarację, w której senat gdański zobowiązuje się „energicznie występować na swem terytorjum przeciwko każdej propagandzie gospodarczej, skiero-

wanej przeciwko polskim przedsiębiorstwom i wyrobom pochodzenia polskiego“, oraz zobowiązuje się do „zapobieżenia czynom, lub wystąpieniom nieprzy-

jaznym, skierowanym przeciwko osobom obywatelstwa polskiego”.

Rzecz prosta, że na to uroczyste zobowiązanie polska opinia musi przede wszystkim odpowiedzieć słowami Ewangelii: „Po czynach ich poznacie je”.

Dotychczas poznaliśmy senat p. Ziehma aż nazbyt dokładnie po czynach wręcz odwrotnych, niż te, do których zobowiązał się obecnie. Dotychczas nie tylko nie występował on „energicznie”, ani w ogóle jakkolwiek, przeciw antypolskiej propagandzie gospodarczej, lecz życzliwie ją tolerował, a jego organy prasowe energicznie ją uprawiały. Dotychczas nie tylko nie zapobiegał on czynom, lub wystąpieniom nieprzyjaznym, skierowanym przeciw osobom obywatelstwa polskiego, lecz czynom najbrutalniejszego przeciw nim teroru przedewszystkiem zapewniał pełną swobodę wyładowania się, później te czyny nagradzał bezkarnością dla sprawców, a karami dla... ofiar, wreszcie zaczął w czynach tych jawnie i oficjalnie współuczestniczyć. Do tego doszło w ciągu ubiegłego lipca, na miesiąc zaledwie przed pójściem p. Ziehma do Kanossy, gdy to hitlerowska milicja wdzierała się do mieszkania obywateli polskich, wyrzucała całą rodzinę na bruk, a senacka policja ten „czyn” urzędowo zatwierdzała.

Jednocześnie ze wzmaganiem przeciwpolskiej akcji na terytorjum, podległym administracji gdańskiego senatu, szły pro foro externo, — na użytek Ligi Narodów, rządów mocarstw, międzynarodowej dyplomacji i opinii, — kategoryczne zapewnienia, że sytuacja w wolnym mieście w stosunku do Polski i Polaków przedstawia się wzorowo, że relacje, świadczące o przeciwnym stanie rzeczy, to od początku do końca zmyślone fantazje polskiej propagandy, — że senat p. Ziehma w idealny sposób czuwa nad utrzymaniem owej wzorowej sytuacji.

Celem tych zapewnień było oczywiście zabezpieczenie sobie swobody kontynuowania dotychczasowej taktyki. Niemiecko-nacjonalistyczny zarząd wolnego miasta czuł się bardzo silny dzięki znanemu stanowisku gdańskiego komisarza Ligi Narodów, jaszkrawo zaznaczonemu w pamiętnym „rozstrzygnięciu” o „action directe”. Liga Narodów wyraziła swemu komisarzowi uznanie i wdzięczność za jego pracę na gdańskiej placówce. Wszystko to,

łącznie z objęciem władzy w Niemczech przez prawicowo-junkierski rząd p. von Papena, ogromnie sprzyjało dalszemu rozwojowi walki przeciw Polsce na terenie wolnego miasta. Przy końcu lipca wszelkie fakty zewnętrzne świadczyły o wzrastającym wciąż zaostrzeniu sytuacji w nieszczęsnej sprawie gdańskiej. Zdawało się, że niema żadnych widoków na jakiegokolwiek choćby tylko „zawieszenie broni”.

Nagle jednak wciąż ten sam nacjonalistyczno-niemiecki senat p. Ziehma, mający za sobą wciąż tego samego komisarza Ligi Narodów, poczuł się zmuszony nie tylko do przerwania walki, lecz wręcz do kapitulacji. Więcej nawet: — w ciągu kilku tygodni z roli zdecydowanego wroga przeeksłował na stanowisko lojalnej współpracy, składając wyraźną, niedwuznaczną obietnicę już nie wyrzeczenia się wszelkiego udziału w antypolskiej akcji, ale stłumienia jej przy użyciu całego swego autorytetu, jak powiada uroczysta deklaracja z dnia 13 sierpnia b. r.

Oczywiście cała ta, pozornie tak niespodziewana, radykalna przemiana obyła się zgoła bez cudów. W skwarne dni lipcowo-sierpniowe z pewnością żadne ośniewające światło nawrócenia, w mgnieniu oka Szawłów na Pawłów przekształcające, nie spłynęło na dusze p. doktora Ziehma, ani jego kolegów. Senat gdański pozostał dzisiaj taki sam, jak i przed 13 sierpnia, zarówno pod względem swego zewnętrznego składu, jak pod względem wewnętrznych nastrojów. Ani w samym Gdańsku, ani naokół Gdańska sytuacja nie uległa żadnej tak radykalnej zmianie, któraaby nagły radykalny odwrót p. Ziehma mogła wytłomaczyć.

Cóż więc nastąpiło?... To proste, że po raz pierwszy od czasu, jak przez dwanaście lat istnienia wolnego miasta Gdańska jego administratorowie prowadzą walkę przeciw Polsce różnymi sposobami i z różnym napięciem, walka ta napotkała teraz nie tylko na odpór ze strony rządu Rzeczypospolitej, lecz także na zdecydowaną kontrofensywę ze strony społeczeństwa polskiego. Podjęliśmy rzuconą nam rękawicę, jednak nie na tym terenie prześladowań i gwałtów, na który pragnęła nas sprowadzić prowokatorska gra, uprawiana w Gdańsku Kontrofensywę swą ograniczyli-

śmy do ściśle gospodarczego zakresu. Wykazaliśmy Gdańskowi nie w teorii, lecz w namacalnej praktyce, że o ile my bez niego pod względem gospodarczym doskonale moglibyśmy się obyć, o tyle on bez ściślejszej gospodarczej z nami łączności w żaden sposób egzystować nie może. I to wystarczyło...

Wystarczyło, aby nawet tak zdecydowanie nacjonalistyczno-niemiecki zarząd wolnego miasta, jak senat p. Ziehma, pospieszył z solenną obietnicą zlikwidowania tego stanu rzeczy, który uczynił z Gdańska teren antypolskiej akcji odwetowego niemieckiego imperjalizmu.

Doprowadzenie senatu p. Ziehma do złożenia owej obietnicy wykazuje, że, bez potrzeby uciekania się do jakichkolwiek mniej lub bardziej dramatycznych ostateczności, rozporządzamy środkami, mogącymi, w każdej chwili, nawet najbardziej odporne i najmniej dobrej woli wykazujące, sfery kierownicze wolnego miasta skierować na drogę szanowania naszych praw i pochylenia głowy przed słuszością naszego stanowiska. I dlatego właśnie gdańskie zobowiązanie z dnia 13 sierpnia jest sukcesem bardzo wielkiej wagi nie tylko jako moralne zwycięstwo. Sukces ten daje nam przykład, jak i nadal zwyciężać mamy — już nie moralnie, lecz praktycznie, to jest baczac pilnie, aby uroczyste przyrzeczenie p. Ziehma nie pozostało... na papierze.

Deklaracja gdańskiego senatu z dnia 13 sierpnia przyniosła jednak fakt jeszcze ważniejszy, niż obietnica, o której lojalne wykonywanie z pewnością nieraz trzeba będzie walczyć. U samego wstępu bowiem zawiera ona uznanie przez senat wolnego miasta, „że Gdańsk i Polska są ściśle związane traktatami”. Z tego właśnie założenia wychodząc, zobowiązuje się p. Ziehm do wypełniania wreszcie obowiązków, wynikających z postanowień traktatów i ze ściślego związku między Gdańskiem i Polską.

Przez całe dwanaście lat gdańsko-polskiego współzycia wszystkie zarządy wolnego miasta, nie wyłączając lewicowo-socjalistycznego, uparcie trzymały się stanowiska, że powojenny stan rzeczy został Gdańskowi narzucony z zewnątrz przemocą i że utrzymywany jest bez jego zgody i

wbrew jego woli. Było to identycznie takie same stanowisko, jakie Niemcy zajmowały wobec zachodnio-europejskich postanowień Traktatu Wersalskiego do chwili podpisania lokarnieńskiego paktu i jakie wobec wschodnio-europejskich jego postanowień zajmują do dzisiaj.

Gdańscy socjaliści ze specjalnym naciskiem przy każdej sposobności głosili, jakoby przekształcenie Gdańska na wolne miasto i związanie go z Polską sprzeciwiało się zasadzie „samostanowienia narodów”, bowiem sam Gdańsk nigdy tej swojej zmiany losu nie uznał. Według tej tezy traktat pokoju „wymusił” na ówczesnych przedstawicielach państwa niemieckiego zrzeczenie się Gdańska na rzecz głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, poczem mocarstwa te rozporządziły się Gdańskiem własnowolnie, nie pytając o zgodę żadnych jego przedstawicieli. Wprawdzie następnie gdańscy przedstawiciele podpisali konwencję paryską i umowę warszawską, regulującą polsko-gdańskie powojenne stosunki, lecz — według stanowiska zarządów wolnego miasta — „przymus” podpisania tych aktów był również zgóry narzucony przez traktat wersalski, zresztą nigdzie w tych aktach nie było wyrażone zasadnicze uznanie przez Gdańsk traktatowego stanu rzeczy, oraz związku z Polską. Gdańscy socjaliści uważali, że „mimo tego” trzeba lojalnie współżyć z Polską i ściśle podporządkowywać się nakazom traktatu oraz umów, ze względu na rozsadek, na ekonomiczną zależność Gdańska od Polski, jako też na interesy pokoju świata, jednak — dodawali zawsze — tylko do tej chwili, gdy Gdańsk sam będzie mógł zdecydować i wyrażnie powiedzieć, na jakich podstawach jego losy mają być ufundowane.

Gdańska prawica na czele z owym „niemiecko-narodowym stronnictwem”, którego przedstawicielem jest podobnie jak poprzedni, tak i obecny prezes senatu wolnego miasta, podziеляjąc, rzecz prosta, „ogólno-niemieckie” stanowisko socjalistów, co do „zasadniczej nieważności” związku Gdańska z Polską, uznawała poprostu za „zradę stanu” socjalistyczny pogląd na konieczność choćby tymczasowego pogodzenia się z losem t. j. z warunkami i z obowiązkami, wynikającymi z

powojennej sytuacji. Jej zdaniem należało na każdym kroku wyciągać także wszystkie możliwe, praktyczne konsekwencje z zasadniczej tezy o „przymusowym stanie rzeczy”. Według niej Gdańsk nie tylko nie mógł nigdy uznać / ważności traktatowego związku z Polską, lecz winien był, w miarę sił i możliwości, wciąż wyłamywać się z pod owego „bezprawnego dyktanda”, stojąc niezłomnie na stanowisku, że jedyny związek, jaki zarówno jego sentymentom, jak potrzebom, odpowiada, to związek z Rzeszą Niemiecką i że właśnie „narzucona” łączność z Polską stanowi bezustanną groźbę dla pokoju świata, jest ciąglem zarzewiem nieporozumień i konfliktów.

Wiemy doskonale, jak starannie obaj niemiecko-narodowi szefowie zarządów wolnego miasta stosowali zasady swojego stronnictwa i w wewnętrznej, i w zewnętrznej dziedzinie. Pierwszy z nich w nagrodę za wybitne zasługi dla sprawy niemieckiej i dla walki z traktatem pokoju na gdańskim odcinku, oraz w nagrodę za niewątpliwe, niestety, sukcesy na tem polu otrzymał, po zakończeniu urzędowania w wolnym mieście, awans na stanowisko szefa samorządu stolicy państwa niemieckiego. Już za czasów prezesowania p. Sahma było w Gdańsku powszechnie wiadomo, że ówczesny wice-prezes senatu, p. dr. Ziehm, uważa politykę swego pryncypała wciąż jeszcze jednak za zbyt umiarkowaną, za nadmiernie ostrożną. Istotnie też od chwili, gdy wiceprezes został z kolei prezesem, wszystkie jego wysiłki zmierzały stale do przelicytowania poprzednika. System sabotowania łączności Gdańska z Polską i praw polskich w Gdańsku, system wytwarzania wciąż nowych tarć i zatargów, aby w ten sposób gromadzić „dowody” na rzecz nacjonalistyczno-niemieckiej tezy o niemożliwości spokojnego gdańsko-polskiego współżycia, — system doprowadzania do ostatecznych granic polskiej dobrej woli i cierpliwości — osiągał raz-w-raz niebywałe rekordy.

Przed półtora rokiem wydawało się, że struna już dociągnięta została aż do punktu pęknięcia, gdy to minister Strassburger zmuszony był prosić o zwolnienie go ze stanowiska generalnego komisarza Rzeczypospolitej w Gdańsku z powodu braku środków

dla zabezpieczenia już nie praw polskich, ale życia Polaków w wolnem mieście przed praktycznymi efektami systemu p. Ziehma. Wówczas Liga Narodów wynalazła plaster w postaci polecenia p. Ziehmowi, aby wydał zarządzenia, zapewniające wewnętrzny ład i porządek na administrowanym przez siebie terenie. Senat gdański istotnie opublikował rozporządzenia, nawet dość surowo brzmiące i polecające z kolei partyjnym bojówkom, aby zechciały się rozbroić, gdyż w przeciwnym razie senacka policja, — składająca się w ogromnym procencie właśnie z członków hitlerowskich bojówek, — gotowa będzie posunąć się „aż” do rozwiązywania bojowych organizacji. Rzecz prosta, że niczego nigdzie nie rozwiązywano, a stosowanie ligowego plastra sprowadzone zostało do naprawdę bardzo surowego odbierania przez policję... spacerowych lasek przedewszystkiem osobom uczestniczącym w... socjalistycznych zgromadzeniach. Hitlerowcy wiedzieli znakomicie, że trzeba unikać trzymania broni na wierzchu aż do tej chwili, gdy uznają za właściwe wydobyć ją dla — strzelania. I — trzeba przyznać — tego przestrzegali dość starannie dopóty, dopóki — w bardzo krótkim czasie — całe „porządkowe rozporządzenia” senatu nie poszły spokojnie w zapomnienie, z wyjątkiem owego punktu, dotyczącego spacerowych lasek na partyjnych wiecach.

Oczywiście cały ten „porządkowy” eksperyment stanowił tylko zachętę do dalszego, coraz bardziej rekordowego uprawiania tak dobrze wyprobowanego systemu. Ostatni rok śmiało nazwać można najczarniejszym w dziejach powojennych gdańsko-polskich stosunków, które niestety nigdy jeszcze dotychczas nie były pogodne. Rządzący w Gdańsku niemiecko-narodowy system podkopywania łączności z Polską doprowadził swe dzieło do kulminacyjnego punktu. Zrzuciwszy ostatecznie tę lekką maskę ostrożności, którą osłaniała się jeszcze polityka reżimu p. Sahma, miał nadzieję, że coraz jaskrawszymi prowokacjami potrafi wreszcie zwyciężyć wytrzymałość nerwów i mocny spokój Rzeczypospolitej. Liczył na to, że uda się doprowadzić nas do jakichś takich kroków, które mogłyby wstrząsnąć całą traktatową stru-

kturą związku między wolnym miastem i Polską. Tego się nie doczekał, natomiast znalazł się w obliczu niespodziewanego dlań, a dziejowo olbrzymiego faktu, — w obliczu zwrócenia się całego polskiego społeczeństwa frontem do morza ze zdecydowaną wolą mocnej, niezłomnej obrony wszelkiego stanu posiadania i wszystkich praw, jakie nam nad tem morzem zostały przyznane. Powojenny Gdańsk stanął po raz pierwszy oko w oko z potężną siłą całego narodu polskiego. Nawet senat p. Ziehma musiał zrozumieć, że walka z tą siłą byłaby beznadziejna i że przedewszystkiem jest wogóle niemożliwa, bowiem od narodu polskiego uzależniona jest prosto egzystencja Gdańska. Nie pozostało nic innego, jak, uroczystym podpisem stwierdzone, uznanie wreszcie — i to przez możliwie najbardziej nacjonalistyczno-niemieckie przedstawicielstwo Gdańska — traktatami skodyfikowanego, lecz nieodwołalnie nakazanego historją i przyrodoznem, ścisłego związku między Gdańskiem i Polską.

Gdy Niemcy zdecydowały się w lokarneńskim pakcie uznać ważność postanowień Traktatu Wersalskiego w tem, co dotyczy zachodnich, powojennych granic Rzeszy, — gdy uroczyste zobowiązały się postanowienia te szanować i wyrzec się wszelkiej przeciw nim walki, — Francja rozumiała doskonale, że akt taki nie zabezpiecza jej jeszcze przed praktycznymi na przyszłość niespodziankami, — że nie zabezpiecza jej przed wznowieniem przez Niemcy, w odpowiedzi dla nich chwili, walki przeciw jej granicom. Dlatego też Francja pragnęła mieć i otrzymała gwarancję Wielkiej Brytanji i Włoch dla paktu w Locarno. Niemcy wiedzą, że gdyby chciały przejść do porządku dziennego nad swem lokarneńskim zobowiązaniem, będą miały przeciw sobie te same siły, które w czasie wielkiej wojny zdruzgotały ich imperjalizm. Dopóki to wiedzą, można mieć pewność lojalnego szanowania przez Rzeszę niemiecko-francuskiego Locarna.

Dla naszego gdańskiego Locarna, dla uznania przez niemieckie przedstawicielstwo wolnego miasta ścisłej łączności Gdańska z Polską, żadnych specjalnych, dodatkowych obcych gwarancji nie

posiadamy poza temi, które na podstawie traktatu pokoju mieliśmy i dotychczas, a których wartość praktyczną dobrze znamy. Lecz też żadnych takich specjalnych obcych gwarancji wcale nie potrzebujemy. Nam również wystarczy w zupełności tylko ta siła, która potrafiła obecnie i potrafi zawsze w przyszłości zwyciężyć wszelkie wysiłki celem obalenia powojennego stanu rzeczy na gdańskim odcinku.

Ta siła — to zwrócenie się całego społeczeństwa frontem ku morzu, ku naszemu dostępowi do morza i pełnemu jego zabezpieczeniu, ku obu portom polskim, ku Gdyni, zarówno jak ku Gdańskowi. Dotychczas zawsze popełnialiśmy błąd olbrzymi, po przedrozbiorowej Rzeczypospoli-

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

tej odziedziczony. Społeczeństwo nasze zaczynało się przejmować sprawą gdańską dopiero wtedy, gdy sytuacja stawała się dramatycznie krytyczna. Teraz musimy z wielkiem, niezmordownem przejęciem czuwać nad nią stale, nie tylko wówczas, kiedy trzeba na alarm uderzyć. To czuwanie, ta gotowość całego narodu do pospieszenia w każdej chwili z pomocą rządowi Rzeczypospolitej i naszym w Gdańsku rodakom, jest nieodzownie konieczna, jeśli chcemy, aby obecny doniosły zasadniczy sukces przyniósł wszystkie te praktyczne owoce, jakie przynieść powinien, — aby stał się wstępem do zlikwidowania w Gdańsku wszelkich wogóle niebezpieczeństw.

TADEUSZ EHRENBURG.



JADOWITE ULOTKI

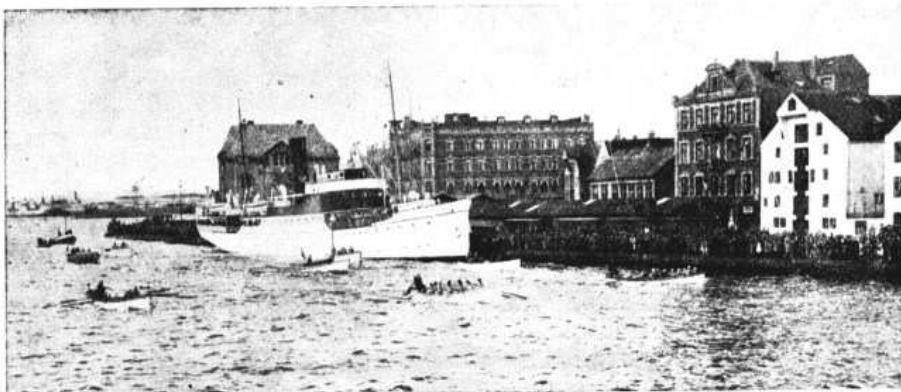
W związku ze zobowiązaniem się przez senat gdański do zlikwidowania antypolskiej akcji na terenie wolnego miasta przy uznaniu ścisłego związku między Gdańskiem i Polską, oraz obowiązków stąd dla senatu wynikających, — jeszcze zanim został oficjalnie opublikowany tekst protokołów w tej sprawie, — na zachodnich kresach Rzeczypospolitej pojawiły się ulotki, usiłujące ten doniosły akt gruntownie przeinaczyć przez całkowite przemilczenie deklaracji zarządu wolnego miasta, a podanie tylko oświadczenia, jakie, w odpowiedzi na tę deklarację złożone zostało w imieniu rządu Rzeczypospolitej. W oświadczeniu swem rząd polski — oczywiście zależnie od lojalnego wypełnienia złożonych przez senat gdański zobowiązań — obiecuje wpłynąć na zawieszenie kontrakcji, jaką społeczeństwo polskie przedsięwzięło wobec ekscesów w wolnym mieście i jaka przewijała się między innymi w t. zw. bojkocie Gdańska.

Jasne jest, że oświadczenie polskie dotyczy faktu, który i bez tego oświadczenia musiałby z natury rzeczy nastąpić. Celem bowiem wszelkiej naszej akcji w sprawie gdańskiej jest oczywiście nie jakakolwiek walka przeciw Gdańskowi, lecz — wręcz odwrotnie, walka o wspólny

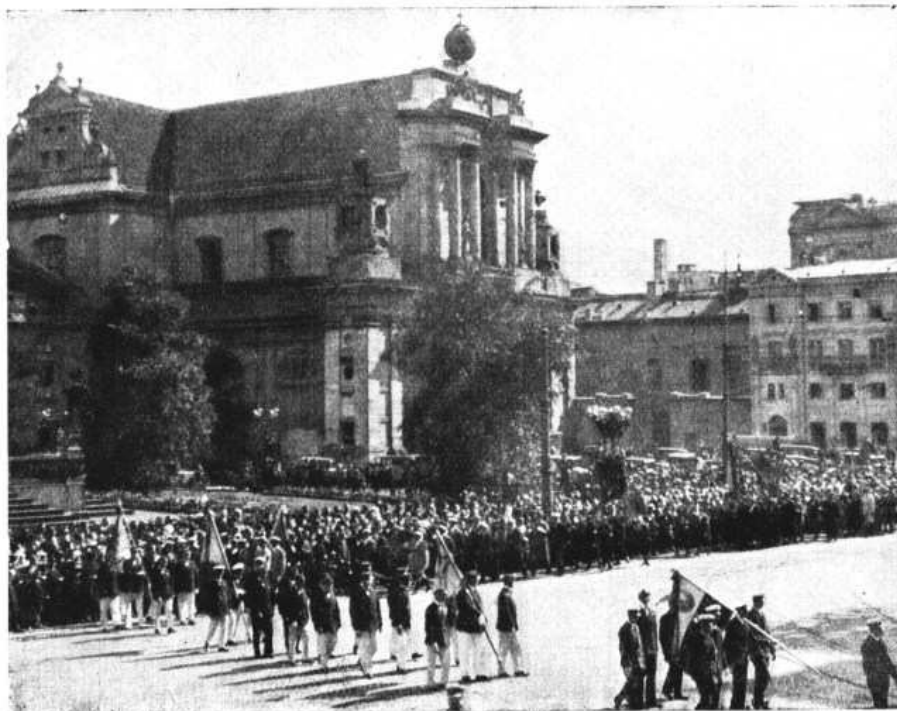
ne, nasze i gdańskie, interesy przeciw przekształceniu wolnego miasta w narzędzie knoń pangermańskiego imperjalizmu. Kontynuowanie naszej kontrakcji po deklaracji p. Ziehma i bez czekania na praktyczne tej deklaracji rezultaty, byłoby więc nie tylko niedorzecznością, lecz także robotą na rzecz agitacji niemieckiej, która stara się wmówić, że Polska jest wrogiem Gdańska niezależnie od takiego, czy innego stanowiska zarządów wolnego miasta.

Zupełnie inaczej, rzecz prosta, przedstawiałaby się sprawa, gdybyśmy mieli przerwać kontrakcję, nie wzamian nie uzyskawszy. Znaczyliby to, że ponieśliśmy dotkliwą klęskę i że jesteśmy bezsilni wobec zamachów na nasze prawa w wolnym mieście.

Ulotki, jadowicie przeinaczające sens protokołów z dnia 13 sierpnia b. r., mogły mieć tylko na celu jeden z tych dwóch efektów t. j. albo prowokowanie do walki przeciw Gdańskowi bez względu na to, co się w Gdańsku dzieje, albo wywołanie wrażenia, że Gdańsk może być dla nas stracony, lub też może — i jedno, i drugie. Tak, czy inaczej, ulotki te zasługują całkowicie na miano roboty w najwyższym stopniu obrzydliwej.



Regaty polsko-norweskie w Stavanger w dniu 4. IX. 1932.



Pogrzeb ś. p. por. pil. Franciszka Żwirki i ś. p. inż. Stanisława Wigury. Na prawo spowiła w krepę banderę Ligi Morskiej i Kolonjalnej z asystą honorową.

ŻWIRKO i WIGURA

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



W podniebnych wyżynach, wśród chmur i ponad chmurami, wśród wicherów i mgieł, nad górami i przepaściami, nad łąkami i morzami toczy się wspaniała walka bohaterstwa i geniuszu ludzkiego przeciw potędze żywiołów. Dwaj ludzie, oderwani od ziemi, na niczyją pomoc, ani odsiecz liczyć niemogący, są sami na swym małym, kruchym, delikatnym, sztucznym ptaku w nieustannych zmaganiach z całą mocą natury tam, gdzie jest ona najgroźniejsza, najbardziej nieujarzmiona i nieobliczalna, — w powietrzu. Śmierć czycha nieustannie.

Lecz walka ta jest jednocześnie wyścigiem. Nie wystarcza zwyciężyć żywioły i dotrzeć szczęśliwie do celu. Trzeba dotrzeć najprędzej. Trzeba za wszelką cenę, za cenę narażania życia co chwilę, pozostawić za sobą innych ludzi, którzy toczą na tym samym szlaku podniebnym, na podobnych ptakach, tę samą heroiczną walkę. Wszyscy ci ludzie reprezentują narody. Ich triumf w powietrznych zawodach okryje chwałą ich ojczyznę, wykaże światu, który z wielkich narodów Europy jest w stanie wydać najświetniejszych mocarzy lotnictwa i skonstruować najznakomitsze lotnicze aparaty. Porucznik-pilot Franciszek Żwirko i inżynier-konstruktor Stanisław Wigura reprezentują Polskę. Cała Polska śledzi z zapartym oddechem ich bój i ich wyścig. Nie zawiedli nadziei. Są wśród pierwszych. Ostatni etap zapasów rozgrywa się

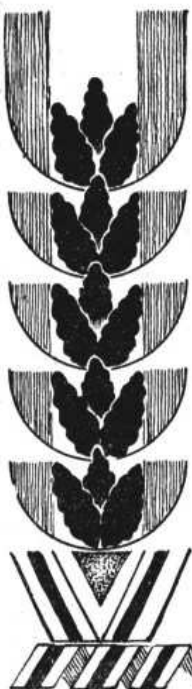
już tylko między Polską i Niemcami, najpotężniejszym współzawodnikiem, dwukrotnym poprzednio triumfotorem w takim samym międzynarodowym wyścigu. Wreszcie — niezapomniany, olśniewający dzień 28 sierpnia 1932 r.

Polska zwyciężyła!... Cały świat z podziwem i szacunkiem skłania głowy. „Jeszcze Polska nie zginęła” rozbrzmiewa w Berlinie.

A potem?... Potem kilka dni oszałamiającej radości, wielkiego święta narodowego na całej ziemi polskiej, jak długa i szeroka. Nazwiska bohaterских zwycięzców, Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury, są na ustach wszystkich Polaków. Wszędzie, gdzie przybywają, cały naród entuzjastycznie, triumfalnie nosi ich na rękach. Zasłużyli na to. Tysiącrotnie, przez swój triumfalny bój i wyścig dla Polski i w imieniu Polski, wspaniale na to zasłużyli. Niedługo trwał okres świętowania. Zakończyła go nagle straszliwa wieść, która jak grom z najjaśniejszego, z najpromienniejszego nieba uderzyła: — Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura nie żyją!... Zginęli śmiercią lotników na swym ptaku i wraz ze swym ptakiem — w powietrzu. Pokonany żywioł zemścił się na nich podstępny, niespodziewany atakiem huraganu. Odebrani zostali życiu i ojczyźnie w kwiecie lat i w pełni sił, lecz po dokonaniu czynu, jakim rzadko który ze śmiertelnych poszczycić się może.

W wielkim, powszechnym, narodowym bólu te słowa przedewszystkiem skierować należy ku ich świetlanej pamięci:

**PORUCZNIK-PILOT FRANCISZEK ŻWIRKO I INŻYNIER STANISŁAW WIGURA
DOBRCZE ZASŁUŻYLI SIĘ OJCZYZNIE!**



OBLAWA NA BIEGUN

Biegun północny oddawna jest ośrodkiem uwagi badaczy i celem niezliczonych wypraw. Począwszy od roku 870, w którym Wiking Ottar odbył pierwszą z Europy podróż odkrywczą na Ocean Lodowaty, aż do naszych czasów możnaby wyliczyć wiele wypraw i całą armię ludzi, którzy życie poświęcili dla zbadania krajów arktycznych. Zbadanie żadnej części globu, najdzikszych gór, czy bezwodnych pustyń nie pochłonęło tylu wysiłków, jakie ofiarowano dotychczas biegunowi i to prawie bez rezultatu.

Pomimo, że biegun został już niejednokrotnie „odkryty”, wiadomości o nim posiadamy wciąż jeszcze zamało.

Dwie zasadnicze sprawy interesowały uczonych badaczy w ciągu wieków. Jedna, to czysto praktyczne zagadnienie żeglugi morskiej na Oceanie Lodowatym,

drugie: zbadanie geograficznych warunków Arktyku.

To ostatnie zagadnienie ma również znaczenie praktyczne, gdyż kraje arktyczne są jakby „matecznikiem” wszystkich zmian klimatycznych i pogody całej północnej półkuli ziemi. Dokładne poznanie Arktyku pozwoli zatem, jak można przypuszczać, z dużą ścisłością, dotychczas nieosiągalną, przewidywać zmiany pogody.

Niezależnie od organizowania pojedynczych wypraw do krajów podbiegunowych oddawna już uczeni marzyli o wyruszeniu całą jakby oblawa, ze wszystkich stron. Wyprawy pojedyncze, choć niekiedy wymagały nadludzkiego prawie bohaterstwa, dawały wyniki bardzo małe. Aby poznać tajemnice bieguna trzeba zorganizowanego wysiłku kilkudziesięciu ludzi, którzy w ciągu dłuższego czasu prowadzić będą systematyczne badania.

Pierwsza taka zbiorowa wyprawa doszła do skutku w roku 1882 na wniosek austriackiego uczonego i badacza bieguna Karola Weyprechta.

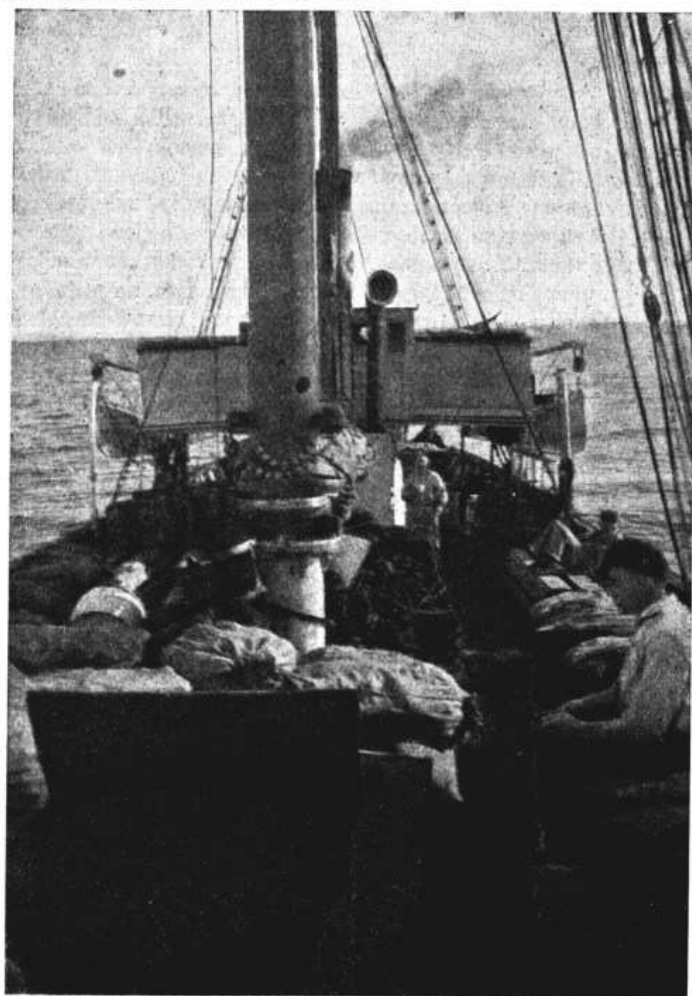
W wyprawie tej, zwanej Rokiem Polarnym, gdyż badania miały trwać cały rok, brało udział 10 państw. Wyniki tych całorocznych obserwacji, choć duże, zawiodły pokładane w nich nadzieje. Brak dostatecznej liczby odpowiednio wyszkolonych obserwatorów, zastąpionych przeważnie marynarzami, brak dokładnych instrumentów pomiarowych, trudność porozumienia (łączności) pomiędzy obserwatorami, choćby w tak małym, a koniecznym zakresie, jak zsynchronizowanie obserwacji, nie pozwoliły z tego wspaniałego wysiłku ludzkiego wyciągnąć tych wszystkich korzyści, jakie wyciągnąć można.

W pięćdziesiąt lat po pierw-

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Ekspedycja polarna ustawia w Tromsø antenę atmoradjografu. Na antenie S. Siedlecki; stoją od lewej: W. Łysakowski, dyr. Ługeon, J. Centkiewicz i inż. Gurtman.



Pokład łamacza lodu „Sverre”, zapelniony bagażami ekspedycji, podczas podróży z Tromsø na wyspę Niedźwiedzią.

szym roku polarnym uczeni europejscy inicjują jego powtórzenie. Na wniosek niemieckiego uczonego, admirała Dominika, Międzynarodowy Komitet Meteorologiczny wyłonił Komisję II-go Roku Polarnego i przystąpił do zorganizowania wyprawy. Akces zgłosiło prawie 50 narodów. W każdym z krajów, które przystąpiły do Roku Polarnego utworzyły się narodowe komisje*), które zajęły się wyekwipowaniem wypraw i dobraniem odpowiednich obserwatorów.

Według planu Roku Polarnego czynnych będzie w ciągu roku 1932/33 (od września do października) 37 obserwatoriów. Ponieważ niektóre z krajów wysyłają tylko po jednym, lub dwóch obserwatorów, wiele obserwatoriów będzie miało załogę międzynarodową. Większe państwa wzięły na siebie całkowite obsadzenie ważniejszych posterunków. Polska objęła obserwatorium na Björnöya (wyspa Niedźwiedzia — 19° 13'33" dł. wsch. od Grenwich, 74°28'57" szer. półn.). Jest to jedna z trzech najdalej na północ wysuniętych placówek.

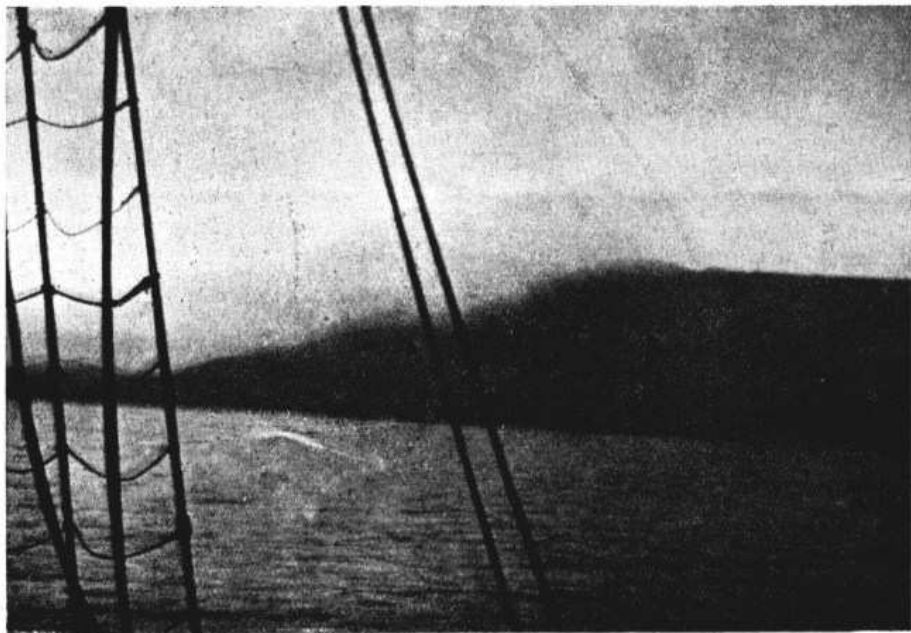
Niezależnie od przyjętego planu Roku Polarnego, Rosja, która bierze udział w tej wyprawie, a dla której badania te są niezwykle ważne ze względu na bardzo długie wybrzeże Oceanu Lodowatego zorganizowała około 60 posterunków obserwacyjnych.

Kierownikiem naukowym polskiej wyprawy został dyrektor P. I. M. dr. J. Lugeon. Wyprawa składa się z trzech obserwatorów: inż. Cz. Centkiewicza, Włodz. Łysakowskiego i St. Siedleckiego. Wybrani zostali oni przez komisję z pośród 250 kandydatów, którzy złożyli podania, pomimo, że zgodnie z uchwałą Międzynarodowego Komitetu Roku Polarnego praca obserwatorów nie będzie wynagradzana.

Dzięki niezwykłej energii dr. Lugeon, oraz noparciu, jakiego wyprawie udzielił rząd, wojsko i społeczeństwo, nasza ekspedycja wyjechała doskonale wyekwipowana.

Warszawie (a raczej Jabłonne, skąd rozpoczęto podróż i gdzie w obserwatorium aerologicznym P. I. M. nakowano bagaże) wyprawa opuściła 15 lipca b. r. Z Gdyni

*) Polska Narodowa Komisja Roku Polarnego: dr. J. Lugeon, prof. Białobrzecki, prof. Dobrowolski, prof. Hłasek-Hłasko, prof. Kalinowski, prof. Smosarski, prof. Groszkowski.



Widok brzegów wyspy Niedźwiedziej (Björnöya), okrytych niskimi chmurami. Zdjęcie z pokładu „Sverre”.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



ekspedycja odpłynęła na pokładzie okrętu „Polonia” do Narwik, a stamtąd do Tromsø norweskim stateczkiem „Skjaervö”.

W Tromsø zatrzymano się kilka dni, gdyż w tamtejszym obserwatorium, należącym również do planu Roku Polarnego ustawiano jeden z dwóch zabranych atmo-radjografów, aparatów do badania radiowych „trząsk” atmosferycznych. Aparaty te są wynalazku dr. Lugeon.

Z Tromsø na wyspę Niedźwiedzia ekspedycja odpłynęła na pokładzie 60-tonowego łamacza lodów „Sverre” i przybyła na miejsce przeznaczenia 2 sierpnia b. r. Wyspa Niedźwiedzia jest niewielką (12 × 14 kilometrów) skałą, wynurającą się z Oceanu Lodowatego w miejscu skrzyżowania prądów morskich ciepłego i polarnego.

Roślinności niema tu żadnej i wyspa przez długi czas była zupełnie bezлюдna. Dopiero w nowszych czasach, z powodu znanego „załadnienia” Oceanu Lodowatego przez okręty rybackie i transportowe, rząd norweski zbudował na Björnöya radiostację. Inwestycja ta była konieczna, gdyż w pobliżu wyspy Niedźwiedziej panują częste mgły, a morze jest stale wzburzone i okręty musiałyby daleko omijać wybrzeża wyspy, koło której biegnie trasa morska: Norwegia — Szpicberg. Jak niebezpieczne dla okrętów są okolice wyspy Niedźwiedziej świadczy fakt, że i dziś jeszcze, pomimo funkcjonowania radiostacji przy-

najmniej jeden okręt rocznie rozbija się o skały Björnöya.

Żałogę radiostacji stanowią trzech ludzie. Z pośród tegorocznej załogi — jeden z nich zamieszkał na wyspie z żoną i kilkoletnim synkiem.

Ekspedycji na wyspę Niedźwiedzia towarzyszy dyr. Lugeon i inż. Gurtzman, adiunkt P. I. M. Po ustawieniu i wyregulowaniu wszystkich instrumentów pomiarowych wrócą oni do kraju.

Pomieszczenie wyprawa nasza znalazła w wygodnych drewnianych budynkach, będących własnością rządu norweskiego.

W jednej z ostatnich korespondencji, jaka „przez okazję” nadeszła z Björnöya, członkowie naszej ekspedycji piszą, że już większość przyrządów funkcjonuje normalnie, spiżarnia jest rozpakowana (zawiera ona zapasy żywności na cały rok), a pomieszczenie mieszkalne urządzone.

Słońce, które przez trzy z góry miesiące „letnie” nie zachodzi, obecnie już zaczyna na kilkanaście minut skrywać się pod horyzontem i temperatura powietrza przeważnie utrzymuje się koło zera.

Za parę tygodni trzech śmiałkowie pozostaną na wyspie sami (tylko w towarzystwie nielicznej załogi norweskiej radiostacji), a za tygodni kilkanaście będą musieli przeżyć ciężką noc polarną.

J. H-SKI!

ZAPISUJCIE SIĘ DO LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

PIERWSZA WIZYTA FLOTY POLSKIEJ W STOCKHOLMIE

25. VIII. — 29. VIII. 1932.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Świt na morzu dnia 25 sierpnia. W pobliżu latarni morskiej Sandhamm z mroków nocy, na tle różowej jasności wschodu, wylaniają się wspaniałe, wyolbrzymione półmrokiem sylwetki, dwóch w pełnym biegu okrętów bojowych. Są to „Wicher” i „Burza”. Zwalniają biegu i wreszcie cicho przystają. Przybyli tutaj no poranne spotkanie z inną dużą morską, z którą oddają już wspólnie do celu podążać będą. Na tle ciemniejszej części widnokręgu, od strony południowej, błyszczą już czerwono-biało-zielone trójkąty światła pozycyjnych trzech łodzi podwodnych: „Żbik”, „Wilk” i „Ryś”. Zbliżają się one do miejsca umówionej schadzki, wymieniają sygnały, formują się do marszu i już z „Wichrem” i „Burzą” na czele ruszają w dalszą drogę. Oddział polskiej floty wojennej dąży z przyjazną wizytą do najbliższej swej zamorskiej sąsiadki — wojennej floty szwedzkiej.

Począwszy od miejsca spotkania, droga morską do Stockholmu wije się wśród niezliczonych wysp i wysepek, częściowo skalistych, częściowo wspaniałe zalesionych. Flotylla polska przewija się zrećnie wśród tego labiryntu, — co chwilę okręty znikają sobie wzajemnie z oczu, by znów wyłonić się z jakiegoś ostrego zakrętu — zawsze w pięknym szyku w równych odstępach. Mamy tej drogi jeszcze trzydzieści pięć mil, a staje się ona coraz bardziej ożywiona i ciekawa. Jeszcze mamy czas na podziwianie natury wśród jasności letniego poranku — za parę chwil bowiem zajmą nas gorączkowe przygotowania do ceremoniałów morskich i uroczystości oficjalnych, które, jak zwykle w takich wypadkach, wypelnione będą dni naszego postoju w Stockholmie.

Pierwszy zwiastun części oficjalnej zjawia się już na morzu.

Do „Wichra” przybija motorówka szwedzka — przez spuszczone trap

wchodzi na pokład kapitan marynarki szwedzkiej, witający flotę w imieniu dowódcy morskich sił zbrojnych w Stockholmie. — Kapitan tn, oddając się do naszej dyspozycji na cały czas postoju w Stockholmie w charakterze oficera łącznikowego, wręcza dowódcy floty, komandorowi Unrugowi, program przyjęć i uroczystości, przewidzianych na czas naszej wizyty. Towarzyszy mu polski attaché wojskowy na Finlandję i Szwecję ppulk. dypl. Jaroszewicz, witający ze swej strony nasze jednostki na terenie swej działalności.

Przybycie do Stockholmu przewidziane jest na godzinę dziewiątą rano. Punktualnie o godzinie dziesiątej, z za ostatniego zakrętu przed miastem, wylania się fort Kastellholmen z powiewającą nad nim banderą szwedzkiej floty wojennej. Pierwszy strzał salutu narodowego pada z „Wichra” — jest tych strzałów 21. Po zakończeniu salutu „Wichra” zaczyna grzmieć działą fortu. To salut narodowy dla floty polskiej. Tuż za fortem stoi eskadra szwedzka, która regulaminowo wita zakotwiczącą oddział polski — orkiestra na pokładzie „Wichra” gra narodowy hymn szwedzki — z pokładu pancernika „Aran” rozlegają się dźwięki hymnu polskiego.

W międzyczasie flotylla polska szybko i sprawnie stanęła na kotwicy na wewnętrznej redzie miasta Stockholmu. Jednocześnie z rzuconiem kotwicy opadał łódzie i motorówki na wodę i opuszczają się trapy wzdłuż burt.

„Wicher” jest okrętem flagowym flotylli. Tu się odbywają najważniejsze szczegóły programu, stąd rozchodzą się co chwilę sygnały dla innych okrętów, przekazywane z mostku flagami i semaforem, tu jest bowiem zaokrętowany, wraz ze swym sztabem, dowódca całego zespołu, komandor Unrug.

Według zwyczajów morskiego, pierwsza wizyta w obcym porcie należy się najstarszemu dowódcy morskemu. Wkrótce zatem po zakotwieniu komandor Unrug udaje się motorówką na pancernik szwedzki „Aran”, na którym zaokrętowany jest dowódca eskadry, komodor Lindsström. Bezpośrednio potem, komodor Lindsström rewizytuje kmd. Unrugą na „Wichrze”.

Całe przedpołudnie pierwszego dnia wypełniają oficjalne wizyty dowódcy flotylli składane, począwszy od posła R. P. ministra Rozwadowskiego, dygnitarzom

wojskowym i cywilnym w Stockholmie. Począwszy od godziny drugiej popołudniu, czas jest przeznaczony na rewizyty na pokładzie „Wichra”. Na pół godziny przed drugą przybywa Minister Rozwadowski w towarzystwie attaché wojsk. ppulk. Jaroszewicza, witany hymnem narodowym w chwili wstąpienia na pokład i żegnany przy odjeździe 17 strzałami armatnimi przepisowego salutu. Działą O. R. P. „Wicher” grzmie z wielkimi przerwami w ciągu całego czasu trwania wizyt, gdyż każdej przybywającej osobistości należy się przy odjeździe pewna ilość strzałów salutu armatniego.

Jednocześnie zaczęła się mniej oficjalna część programu. Już o godzinie 15.30 widać kutry motorowe, odbijające od okrętów, przepelnione białymi czapkami naszych marynarzy. To załogi okrętów, w liczbie przeszło 200 ludzi jadą do miasta na specjalne przedstawienie kinematograficzne. Wkrótce potem podoficerowie okrętów wyjeżdżają na przyjęcie zorganizowane dla nich przez związek podoficerów marynarki szwedzkiej.

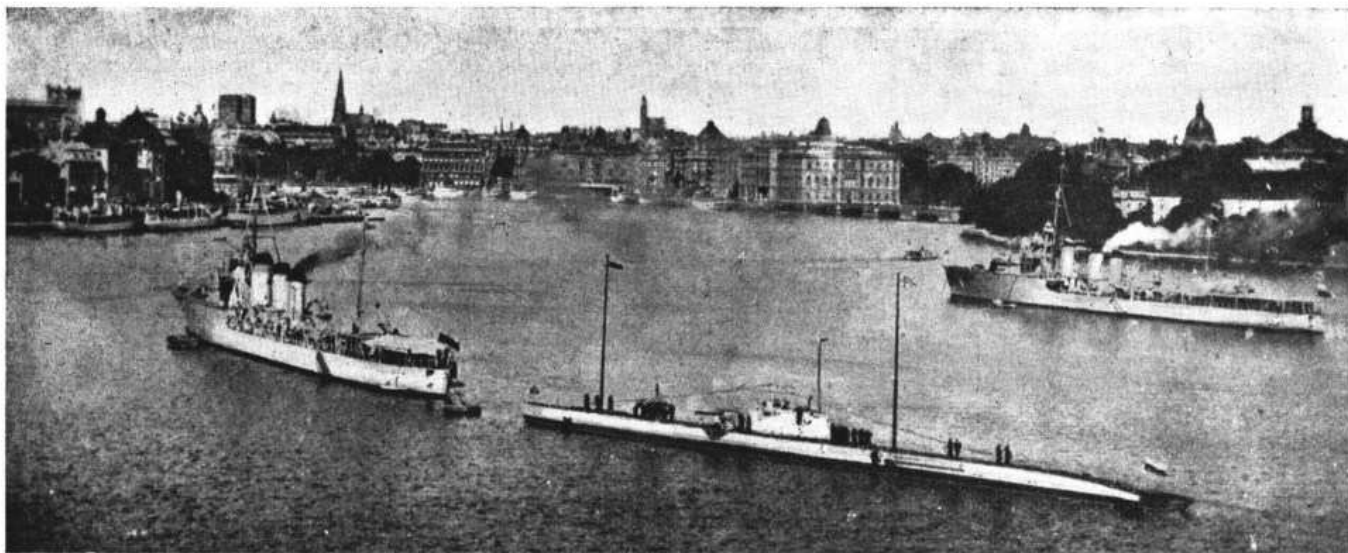
Pierwsze zetknięcie oficerów flotylli, z dowódcą kmd. Unrugiem na czele, z oficerami marynarki szwedzkiej następuje wieczorem, na obiedzie, wydanym w pięknej letniej restauracji Hasselbacken przez stowarzyszenie oficerów marynarki szwedzkiej. Prezes tego stowarzyszenia, wiceadmirał de Riben, również w charakterze komendanta portu wojennego w Stockholmie, w krótkiej przemowie w czasie obiadu powitał serdecznie pierwszą wizytę floty polskiej w Stockholmie. Kmd. Unrug odpowiedział serdecznym toastem na cześć marynarki szwedzkiej, wyrażając jednocześnie radość z powodu przybycia do Szwecji i nawiązania bliższych stosunków z dzielnią marynarką szwedzką. Wśród bardzo miłej, koleżeńkiej pogawędki przeminął ten wieczór.

Następny dzień, piątek, był punktem kulminacyjnym programu przyjęć. W południe odbyło się wielkie śniadanie u szwedzkiego Ministra Spraw Zagranicznych, bar. Ramel'a, wydane na cześć flotylli polskiej. Na śniadaniu tem minister Ramel wygłosił niezwykle serdeczną mowę, w której podkreślił wspólność historyczną Polski i Szwecji i zaznaczył, że Szwecja ze szczególnym zainteresowaniem patrzy na świetny rozwój Państwa Polskiego, którego pięknym wyrazem jest

przybycie wspaniałej, nowoczesnej flotylli okrętów polskich do Stockholmu. Na dowód sympatii, z jaką rząd szwedzki odnosi się do tej wizyty, minister Ramel wręczył osobiście nadane przez króla Szwecji wysokie odznaczenia następującym oficerom:



Tak wyglądały pierwsze strony dzienników stockholmskich podczas wizyty floty polskiej.



Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Polskie okręty wojenne na redzie wewnętrznej Sztokholmu.

Dowódcy flotylli, kmd. Unrugowi — wielki krzyż orderu „Miecza”, dowódcy kontrtorp. „Wicher”, kmd. ppor. Morgensternowi — krzyż komandorski orderu „Miecza”, dowódcy kontrtorp. „Burza”, kmd. por. Sokołowskiemu — krzyż komandorski orderu „Miecza”, dowódcy dyonu łodzi podwodnych, kmd. ppor. Pławskiemu — krzyż komandorski orderu „Wazy”, dowódcy łodzi podw. „Wilk” kpt. Mohucemu, d-cy łodzi podw. „Ryś” kpt. Szyszowskiemu oraz oficerowi sztabu flotylli kpt. dypl. Stoklasie — krzyż oficerski orderu „Miecza”.

Wieczorem dowódcy i oficerowie okrętów eskadry szwedzkiej wydali dla oficerów naszej flotylli obiad na poszczególnych okrętach eskadry. Nastrój na tych przyjęciach stał się od razu bardzo koleżeński.

Bał w poselstwie R. P. wydany przez ministra Rozwadowskiego i jego małżonkę, zgromadził całą elitę urzędową i towarzyską Sztokholmu. Punktualnie o godzinie dziewiątej salony poselstwa zaroilo się tłumem gości. Blask uniformów galowych, barwność wstęg i orderów rywalizowały ze świetnością balowych toalet pań. Wkrótce rozpoczęły się tańce, do których naprzemian przystępowała nasza orkiestra marynarki i zespół szwedzki — na prośbę jednak publiczności szwedzkiej poważnie musiała grać nasza orkiestra, powtarzając niektóre tańce niezliczoną ilość razy. Zabawa w poselstwie trwała do godziny drugiej rano.

Następny dzień, sobota, był dniem najszczelniej wypełnionym programem rewanżów i nowych przyjęć. Już od rana nasze okręty podejmowały prywatnie grupki oficerów szwedzkich, którzy przybywali tak z okrętów, jak z instytucji lądowych marynarki, celem zwiedzenia kontrtorpedowców i łodzi podwodnych. W czasie całego zresztą pobytu zauważyć można było u oficerów szwedzkich ogromne zainteresowanie rozwojem naszej marynarki wojennej, a szczególnie nasze nowoczesne jednostki, pierwszy raz pokazane zagranicą, wzbudzały nadzwyczajne zaciekawienie. Wyrazem tego są również bardzo liczne artykuły prasowe, ozdobione mnóstwem zdjęć fotograficznych, które ukazywały się w dziennikach, nie tylko w czasie postoju flotylli w Sztokholmie, ale jeszcze na długi czas przed naszym przybyciem.

Część oficerów polskich, niezajętych oprowadzaniem gości, udała się na ląd celem zwiedzenia nadzwyczajnie ciekawego muzeum marynarki szwedzkiej, po czym, na zaproszenie oficerów szwedzkich, zwiedziła okręty eskadry: pancernik „Aran”, kontrtorpedowce „Nordenskjöld” i „Klas Horn” (bardzo piękne, nowoczesne jednostki) oraz łodzie podwodne „Valrossen” i „Draken”.

Tymczasem na pokładach kontrtorpedowców widać gorączkowe przygotowania do przyjęcia, wydanego przez dowódcę flotylli dla szwedzkich dowódców morskich oraz posła R. P. min. Rozwadowskiego. O godzinie 13 zjeżdżają się zaproszeni goście, częściowo na „Wicher”, częściowo na „Burzę”. Śniadanie, urządzone jest na pokładach okrętów pod namiotem, przybranym flagami. Już o godzinie 4 ci sami oficerowie szwedzcy i polscy znaleźli się w Hasselbacken, gdzie ze względu na brak dostatecznego pomieszczenia na okrętach, wydana została z naszej strony herbatka dla większej ilości osób z pośród sfer wojskowych i towarzyskich Sztokholmu. Zaproszonych było przeszło 200 osób.

Po tem przyjęciu udał się na reprezentacyjnym jachcie marynarki szwedzkiej „Eugen” dowódca i zaproszeni oficerowie polscy na godzinną przejażdżkę wśród przepięknie zabudowanych luksusowych willami i pałacami wysepek. Wyszliśmy na ląd w słynnej miejscowości kąpielowej Saltsjöbaden. Oczekiwali tutaj: prezes Towarzystwa Szwedzko-Polskiego pułkownik Arbin (dawny attaché przy poselstwie szwedzkim w Warszawie) oraz prezes Szwedzko-Polskiej Izby Handlowej, p. Klemming, którzy poprowadzili nas na obiad, wydany wspólnie w tamtejszym Kasynie.

Obiad ten odznaczał się jeszcze większą serdecznością, wyrażoną w przemowach i toastach na cześć obu krajów.

Na tem część oficjalna tego dnia zakończyła się — resztę dnia, a raczej nocy, poświęciliśmy milej zabawie w innych salach Kasyna.

Jednocześnie, począwszy od popołudnia, odbywały się na lądzie imprezy, zorganizowane przez stronę szwedzką dla naszych załóg.

Do programu tych imprez wszedł przede wszystkim tradycyjny mecz footballowy, rozegrany między drużynami obu marynarek. Walka była bardzo po-

prawna z obu stron, ale i bardzo energiczna. Wynik ostateczny 3:2 na korzyść gospodarzy. Nadzwyczaj ujmujący był stosunek publiczności (przeszło 800 osób) do naszej drużyny. Każda bramka, strzelona dla strony polskiej, witana była powszechnym entuzjazmem, a długie oklaski wynagrodziły piękną grę.

Nasza drużyna otrzymała piękny puchar pamiątkowy, każdy zaś z członków drużyny brązowy żeton.

Wieczorem podoficerowie i marynarze z okrętów zaproszeni zostali w liczbie 200 osób na obiad, wydany w Skansen przez miasto Sztokholm. Szwedzkie motorówki przybyły o godz. 17 do naszych okrętów i zabrały gości na ten obiad.

Przyjęcie to, wraz z tańcami przeciągnęło się do późnej nocy, pozostawiając jak najmiłsze wrażenie u naszych marynarzy oraz szeregu oficerów, którzy również brali w niem udział.

Trzeba dodać, że miasto Sztokholm ofiarowało marynarzom na cały czas pobytu bezpłatny wstęp do słynnego parku rozrywkowego Tivoli.

Czwarty dzień naszej wizyty, niedziela, był już dniem względnego wypoczynku. W ciągu przedpołudnia przybyli na O. R. „Wicher” posłowie polski i francuski z małżonkami z prywatną wizytą do dowódcy flotylli, kmd. Unruga. Podczas śniadania kmd. Unrug wręczył szwedzkiemu oficerowi łącznikowemu, kpt. Hauffmanowi pamiątkowy puchar srebrny, ofiarowany przez oficerów flotylli, jako wyraz wdzięczności za poniesione trudy.

Po śniadaniu część oficerów i starszych podoficerów udała się na wyścigi konne w pobliżu Sztokholmu, na zaproszenie Szwedzkiego Towarzystwa Wyścigów Konnych — część oficerów zajęta była oprowadzaniem tłumnie zwiedzającej nasze okręty publiczności, wolni zaś od wszelkich obowiązków zjechali na ląd, by nareszcie zobaczyć swobodnie miasto.

W tym samym czasie podoficerowie flotylli, rewanżując się za doznane przyjęcie ze strony podoficerów szwedzkich, urządzili dla nich herbatkę na pokładzie O. R. B. „Burza”; — że się dobrze bawiono, świadczy fakt, że „herbatka” trwała od godziny 4 do 10 w nocy.

Galowe przedstawienie w Operze Królewskiej zakończyło czwarty i ostatni dzień pobytu floty w Sztokholmie.

W poniedziałek rano o godzinie 7 nastąpiło odfektowanie z rezy Stockholm. Flotylla rozwinęła się w szereg torowy i eskortowana przez dwa kontrtorpedowce szwedzkie „Nordenskjöld” i „Klas Horn” rozpoczęła piękne przejście wśród „szker” stockholmskich.

Po 5 godzinach wspólnego marszu, na wysokości miejscowości kąpielowej Da-

larö, kontrtorpedowce szwedzkie wystąpiły z szyku i przedefilowały pełną szybkością przed naszym oddziałem, poczem przy dźwięku narodowego hymnu szwedzkiego, granego na pokładzie „Wichra” wymieniono pożegnalne sygnały flagowe, i oba oddziały rozstały się. W czasie tej ceremonii kazał nad naszymi jednostkami hydroplan szwedzki.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



T. S.

NAJPILNIEJSZE POTRZEBY ŻEGLUGI ŚRÓDLĄDOWEJ

W dniu 1 lipca r. b. przestało istnieć Ministerstwo Robót Publicznych. Kompetencje w sprawach dróg wodnych i żeglugi śródlądowej przeszły do Ministerstwa Komunikacji.

W związku z tą zmianą chcielibyśmy na tem miejscu wskazać w tej dziedzinie na parę najpilniejszych spraw, które, sądząc, nie będą wymagały dużych wysiłków finansowych ze strony tak potężnego budżetowo resortu, jakim jest Ministerstwo Komunikacji. Pomijamy więc sprawy takie, jak regulacja Wisły i jej dopływów, sprawy budowy i przebudowy kanałów, sprawy zbiorników wód i t. d., jako inwestycje, wymagające dużych nakładów finansowych.

Jeżeli żegluga śródlądowa dotąd dawała sobie radę na takiej

drodze wodnej, jak Wisła, w tym stanie, w jakim ona jest obecnie, to przy czujnej i dostatecznej narażeniu konserwacji — da sobie radę i w najbliższych latach kryzysowych i pokryzysowych. Nie należy stąd wyprowadzać wniosków, byśmy uważali, że stan żeglugi na Wiśle jest świetny, lub choćby tylko zadowalający. — Odwrotnie boryka się ona z wieloma trudnościami.

Należy jej dopomóc w tej walce o byt, o utrzymanie się na powierzchni.

Do pomocy tej, niewymagającej wielkich wysiłków finansowych, zaliczamy załatwienie jak najszybsze spraw następujących:

1. możliwie dogodnie połączenie bocznkami kolejowymi portów rzecznych ze stacjami kolejowymi w obszarze ciężenia portów.

Tak zakończyła się pierwsza oficjalna wizyta floty wojennej w Szwecji. Okręty i ich załogi wróciły do bazy, do dalszej codziennej żmudnej pracy, ale z tem przekonaniem, iż tych kilka dni uroczystych przyczyniło się do rozszerzenia w świecie wieści, że Polska rośnie i tężeje.

2. ustalenie taryf łamanych, wodno-kolejowych, odpowiadających interesom obu sposobów transportów, na obszarze celnym Rzeczypospolitej,

3. przepracowanie i skodyfikowanie norm prawnych, obowiązujących w żegludze śródlądowej,

4. zwolnienie, przynajmniej częściowe, żeglugi śródlądowej od podatków państwowych i komunalnych, jak to jest w żegludze morskiej.

Załatwienie tych spraw, może się znacznie przyczynić do wzmocnienia pozycji żeglugi śródlądowej w Polsce, tworząc z niej niezły instrument polityki handlowej i komunikacyjnej w walce o nowe rynki zbytu.

M. NIEDŹWIAŁOWSKI.

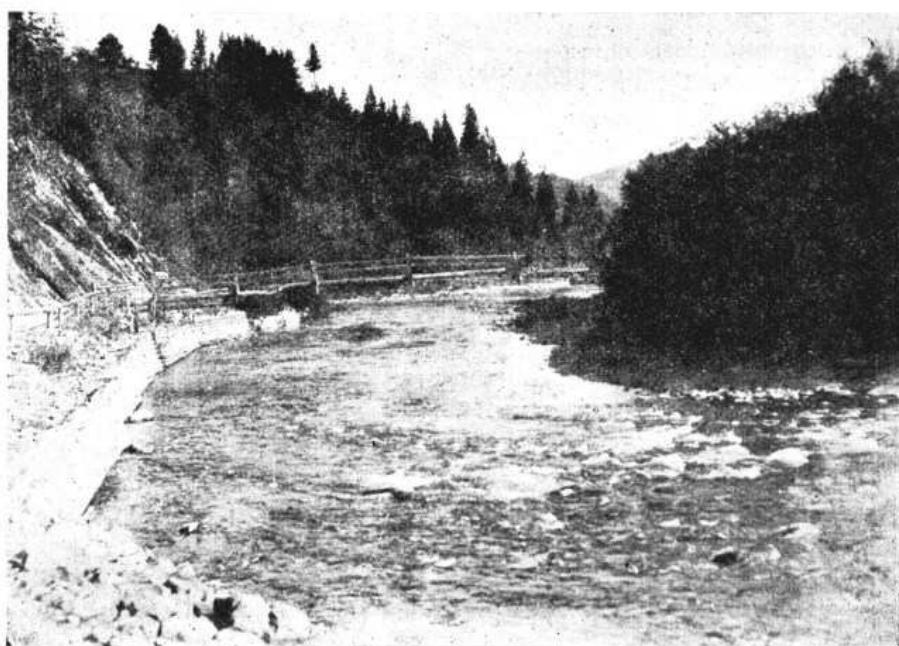
SPŁAWACZKA W BESKIDACH WSCHODNICH

Pływa kiermanicza¹⁾ jest krótka, trwa zazwyczaj pół dnia, najwyżej dzień cały ale każdą chwilę spędza on na swej talbie²⁾ w najwyższym napięciu, błyskawicznie orientując się, by dostosować szalony pęd tratwy do każdego zakrętu rzeki i ominąć cało każdą przeszkodę, a w końcu cało w oznaczonym miejscu przybić do brzegu. Zważyć trzeba, że dzięki bardzo znacznemu spadkowi rzeki (od Szybonego od Zabiego na przestrzeni 40 km spada jego koryto z 1000 na 600 metrów, a więc o 400 m) szybkość płynącej tratwy wynosi 1 km na 5 minut; dlatego ciężką pracą robotnika-drwala, ale nadto wspaniałym, szlachetnym w całym słowa znaczeniu, wyczynem sportowym!

Odmienne też są budowane tratwy. Choć puszczanie z kłauzy zebranych w niej mas wody podnosi ją na rzecze o ½—1 metra, zależnie od szerokości jej łóżyska, to mimo to nie może przykryć woda znaczniejszych progów, skał i kamieni, które tak licznie wypełniają jest koryto wysokogórskiej rzeki. Cała budowa więc i sposób zestawienia tratwy polega na przystosowaniu jej do nierówności koryta rzeczniczego i lat-

wego ślizgania się po jego dnie. Kłocze nie tylko ułożone są wierzchołkami, t. j. cieńszymi końcami w dół wody, by tratwa nie zatrzymywała się na ładzie większym kamieniu; również poszcze-

gólne kłocze są wiązane w ten sposób, by ponad większymi blokami skalnymi mogła tratwa wedle potrzeby swobodnie wysklepić się ku górze, co uzyskuje się przez luźne łączenie kłoców i to nie



Czeremosz Czarny w Jasienowie Górny. Z lewej strony umocniony kamieniami brzeg rzeki. Fot. H. Gąsiorowski.

¹⁾ „Kiermanicz” = flisak; wyraz ten pochodzi od słowa „kierma”, oznaczającego „wiosło”.

²⁾ „talba” = pojedyncza tratwa (flisacka „tufla”).

bezpośrednio po kolejności, lecz z wymijaniem 3–4 kłoców; tylnych końców nie wiąże się w tym samym celu zupełnie. W związku z tem do łączenia kłoców nie używa się tu nigdy gwoździ, lecz wiąże się je wyłącznie tylko „hużwą”, t. j. gałęziami młodych świerków, nad ogniem na kształt lin skręcanymi. Huculskie „daraby”³⁾ nie znają też t. zatrzymywania ich z powodu ograniczonego czasu trwania sztucznej powodzi, a również o osadzeniu takiego śryku w skalistym dnie górskiej rzeki mowy być nie może. Tem mniej potrzebne są tu wygodne szalasy, bez których niema tratwę na Wiśle, a w których koczują tamtejsi flisacy, znajdując w nich schron przed ulewą i jaki taki nocleg. Krótki, jak wyżej wspomniano, czas pędzenia spławu na Czeremoszu, wyklucza wogóle pływby nocą; nocą też niema pracy kiermanicza, a na wypadek ulewy, choćby najstraszliwszej, schowku tu niema. Nie zważając na grzmoty piorunów i gzygaki błyskawic, przemoknięty literalnie do nitki, zdając się w kornej modlitwie na łaskę Bożą, pędzi spokojnie kiermanicz swą darabę dalej, a baczyć jeszcze bystrzej musi, by nie wpadł na skalny „obłaz”⁴⁾, dokąd go łatwo wzmnożony podwójnie, bo i spuszczeniem klauzy i ulewą, prąd rozszalałej rzeki znieść może. Zamiast szalasu więc tkwi na środku pierwszej talby jeno „sochar”, t. j. stojak rosochowaty u góry, na który wieszka kiermanicz torbę i wierzchnie odzienie.

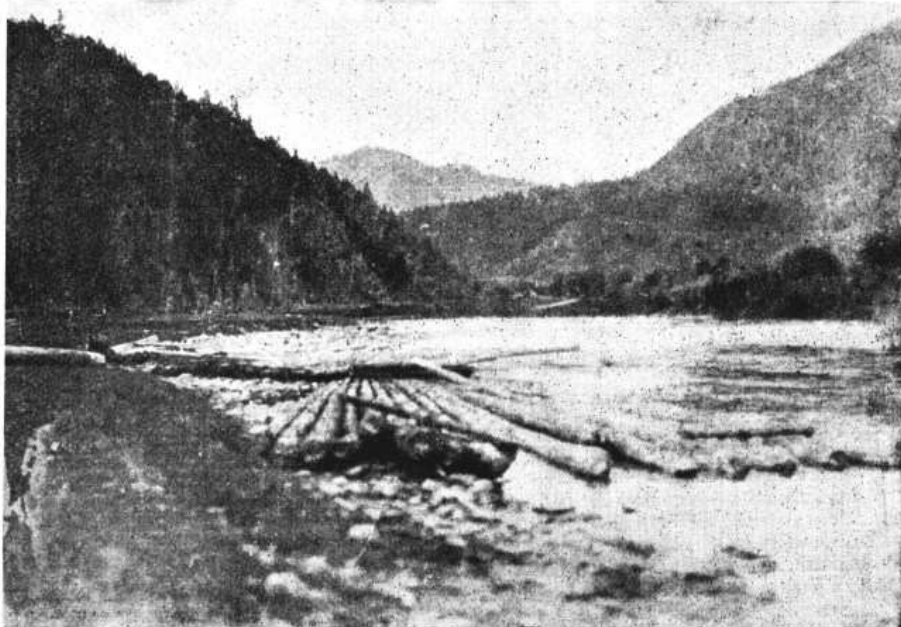
Do kierowania tratwą służy „kierna”, czyli wiosło. Składa się ona z deski oraz draga, do której przybita jest drewnianymi kołkami. Drag („drugir”) osadzony jest ruchomo zapomocą sworzni do belki, ułożonej w poprzek na przedzie pierwszej talby i przymocowanej do niej również kołkami drewnianymi. Kołki wbija się siekierą w otwory, porobione świdrem. Dwa te narzędzia, nadto „cwajka” (t. j. żerdka, którą przytrzymuje się tratwę do brzegu), dalej drag do podważania jej i wreszcie „raki” na nogi, umożliwiające stapanie i bieganie po śliskich kłocach, to nieodłączny ekwipunek kiermanicza. Przy większych spławach robi się 2 kiermy na przodzie, nadto jedną w tyle; tej ostatniej używa się jednak tylko wyjątkowo na bardzo ostrych skrętach i przy bardzo długich darabach.

A teraz podążymy, idąc piękną doliną Czeremoszu, daleko w głąb gór ku jego źródłowiskom, by dotrzeć do którejś z klauz i zapoznać się z jej urządzeniem. Po drodze napotykamy w wielu miejscach pogromadzone na zarynkach rzecznych olbrzymie stopy okorowanych kłoców; są to bądź składy kłoców, nagromadzonych z zimowych wyrębów, bądź też lądowiska spławów czeremoszowych. Największe z nich są w Uścierykach, Krzyworówni, Żabim, Jaworniku i Rabińcu nad Czarnym, oraz w Dothopolu, Jablonicy i pod klauzą Marjen nad Białym Czeremoszem. Przy nich wiąże się kłocę w poszczególne talby, a następnie poszczególne talby w „daraby”, t. j. 3–5 talb, jedna za drugą. Wszystkie kłocę poukładane są cieńszymi końcami w dół wody; grubsze końce, zwrócone w górę rzeki, mają na sobie malowane znaki, oznaczające firmę, której są własnością.

Prócz należycie uporządkowanych

³⁾ „daraba” = kilka talb razem jedna za drugą złączonych.

⁴⁾ „obłaz” = skręt doliny nasrożony skałami.



Dolina Czeremoszu w Krzyworówni.

Fot. H. Gąsiorowski.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



składów spotkać czasem można stopy kłoców, spiętrzonych w największym bezładzie na środku rzeki, to luźnych, to powiązanych w całe tratwy, lub jakby w ich części, a przy nich ludzi, pracujących znośnie nad usunięciem ich z koryta. Są to t. zw. „zahaty” t. j. zatory spowodowane utknięciem tratwy w czasie spławu i najechaniem na nią wszystkich, puszczonych po niej „darab”. „Zahata”, to niesłychanie dotkliwa klęska kiermaniczów i to nietylko tych, których tratwa utknęła, ale i wszystkich którzy pędzą dalsze spławy. Poszczególne talby rozrywają się wskutek siły zderzenia, kiermy łamią się i długich, mozolnych dni trzeba, by usunąć hałdy kłoców z nurtu i poskładać z powrotem rozbite tratwy w całość.

Docieramy wreszcie po dolinie, wśród najpiękniejszych górskich krajobrazów do klauzy. Koryto rzeki zamyka tu wysokie rusztowanie z belek i desek, roz-

budowane od jednego jej brzegu do drugiego. Jest to jaz, wstrzymujący odpływ wody, napływającej z góry rzeki; jaz po huculsku zwie się „hat”, co równa się staropolskiemu „gać”. Tworzy go zazwyczaj szereg większych kaszyc, wypełnionych kamieniami, glina i mchem tak, by nie przepuszczały wody. W środku jazu znajduje się przepust, zamknięty śluzą; nad jego środkiem wznosi się śrubowe urządzenie do podnoszenia śluzu, chronione zazwyczaj przed słońcem osobną altaną. Przed nią kilkostopniowe żłobisko drewniane dla wypuszczonej wody. Obok śluzu znajduje się również drugie koryto, służące do przepuszczenia przez klauzę kłoców, pochodzących z lasów powyżej klauzy. Po górnej stronie jazu lśni tafla spiętrzonej wody, tworzącej większy (Łostun, Marjen, Szybenka) lub mniejszy staw (Wołowy, Probijna, Krzywopole). Zbiorniki te, chociaż tylko sztuczne tworzą rak ludzkich, jakby piękne jeziora stanowią niezwykle wdzięczną dla oka ozdobę gór naszych i niektóre z nich, jak słynna Szybenka lub Łostun, są celem licznych wycieczek turystycznych.

Klauza Szybenka znajduje się na potoku Szybenym, lewobocznym dopływem Czarnego Czeremoszu na terytorium gminy Dzembronia, 35 km. od Żabiego, 57 od Worochty i powstała z naturalnego jeziora, zatarasowanego wskutek usunięcia się góry wzniesionej na południu od niego, zwanej Munczełyk. Jezioro to, wzniesione 1024 m n. p. m., 850 m długie i 200 m szerokie, zajmuje 17 hektarów powierzchni. Głębokość jego przy zamkniętej śluzie wynosi w najgłębszym miejscu 24 m; znajduje się wtedy w niem 400.000 m³ wody, przybyłej z sieci potoka Szybenego. Jaz ma w górze 80 m, w dole 20 m długości. Wypuszczona stąd woda dochodzi w 4 godziny do Żabiego, a spuszczenie całej zawartości klauzy wymaga około 10 godzin czasu. Pod względem krajobrazowym jezioro to, zakłęste w wysokich górach pod Szurynem, Ruskim Działem, Stogiem (1655 m) i Popem Iwanem (2024 m), zalicza się do najpiękniejszych zakątków Beskidów Wschodnich.

(D. n.) HENRYK GĄSIOROWSKI.



Zniszczona wskutek powodzi w r. 1927 klauza w Probijnie.

PRASA CZECHOSŁOWACKA O „ŚWIĘCIE MORZA“

Polskie „Święto Morza“ w Gdyni odbiło się żywym echem niemal w całej prasie czechosłowackiej, objawiając coraz żywsze zainteresowanie sprawami naszego morza. Nawet pisma, nieprzychylnie dla Polski, zamieściły szereg artykułów, podkreślających znaczenie dorobku polskiego na Bałtyku dla całej Słowiańszczyzny. Rolę tę uwypukla naczelny artykuł „Mor. Sl. Denik’a“ z dn. 7 VII. b. r., w którym po zaznaczeniu doniosłości „Święta Morza“, jako odpowiedzi na dążenie niemieckie do zmiany granic wschodnich Rzeczy, znajdujemy następujące ustępy:

„Polskie Święto Morza w Gdyni było zatem właściwie symbolem dla wszystkich narodów i państw słowiańskich, ażeby sobie uświadomiły przeszłość, a pamiętały o przyszłości. Znakomicie scharakteryzował to na uroczystości sam polski Prezydent Rzeczypospolitej, gdy wspominał o tragedji Polski przed 160 laty. Strata Pomorza i wolnego morza prowadziła niepowodzenie do katastrofy państwowej, do utraty niepodległości Polski. Czy historia ma się powtórzyć? Bez Pomorza i wolnego dostępu do morza nie będzie ani w przyszłości polskiej niepodległości państwowej — tak wołał najwyższy dostojnik Rzeczypospolitej Polskiej. Są to słowa o wielkiej treści, słowa symboliczne dla wszystkich Słowian. Uczą nas tęsknić za morzem i miłować je. Przecież historia polska, odnosząca się do morza, powtarzała się i powtarza u wszystkich narodów słowiańskich. Tragedji wojen o morze nie uniknął nawet najsilniejszy naród słowiański — Rosjanie“.

Opisując trudności, na jakie natrafiła Jugosławia na Adriatyku oraz utratę przez Bułgarię dostępu do morza Egejskiego, pismo dodaje:

„Los Czechosłowacji jest najtragiczniejszy. Jedyna możliwość wspólnego korytarza z Jugosławją upadła na konferencji pokojowej i zastąpiono ją papierowymi gwarancjami o pasach portowych w Hamburgu i w Szczecinie. Nie mamy żadnej nadziei zrealizowania w najbliższym czasie wolnego dostępu do któregośkolwiek portu morskiego, a przecież nasz rozwinięty przemysł, handel i rolnictwo woła o morze. Wtłoczeni w serce Europy możemy i musimy dążyć do morza. Porty jugosłowiańskie, Triest, Hamburg i Szczecin biorą udział w naszym eksporcie zamorskim, ale pomimo tego tylko dwie wolne drogi mamy pod ręką, które musimy zrealizować odrazu. Nasz eksport musi usłyszeć wołanie Polaków. Mamy już w Gdyni naszą strefę portową, obecnie trzeba wybudować port i porozumieć się z Polską, co do taryf przewozowych. Gdynia musi stać się portem nie tylko dla Polski, ale dla całej Środkowej i Wschodniej Europy Słowiańskiej. Druga nasza możliwość leży nad Dunajem, który nas bezpośrednio łączy ze Słowianami bałkańskimi i otwiera bramę drogi wodnej na Bliski Wschód i do Rosji. Także Dunaj winien stać się wielką wodną drogą transportową na Bliski Wschód i do Rosji. Jednym z pierwszych zadań polityki państw słowiańskich musi być praca nad skutecznieniem hasła „Morze dla Słowian“.

„Ceske Slovo“ w Nr. 213 z dn. 4 VIII. podkreśla widoczne zdenerwowanie Berlina, wobec rosnącej morskiej ekspansji polskiej, oraz stwierdza, że

naruszenie traktatów pokojowych grozi nieuchronną wojną.

Cały cykl artykułów o polskim morzu zamieścił ołomuniecki „Nasinec“, organ katolickiej partji ludowej, omawiając znaczenie Pomorza dla Polski, oraz rolę Gdańska i Gdyni, zgodnie z tezą polską.

Nader poczytne „Berneńskie Nowiny“ publikują w Nr. 413 z dn. 17 VIII. korespondencję W. Dreslera z Warszawy p. t. „Polska, jako mocarstwo morskie“. Autor stwierdza fakt, że punkt ciężkości życia polskiego przenosi się stopniowo nad Bałtyk, oraz wyraża pogląd, że Gdynia, konkurując skutocznie z wielkimi portami handlowymi niemieckimi, winna stać się jednocześnie bazą floty wojennej polskiej, tak potężnej, aby mogła raz na zawsze przekreślić agresywne zamiary niemieckie względem polskiego Pomorza.

Z głosów czeskiej prasy stołecznej wymienić należy, artykuł p. t. „Polski korytarz a my“ zamieszczony w centralnym organie partji narodowo-demo-

kratycznej „Narodnich Listach“ w Nr. 226 z dn. 17 VIII. b. r. Publicysta czeski polemizuje gwałtownie z tym odłamem opinii czechosłowackiej, która jest przeciwna polskiemu korytarzowi, twierdząc dosłownie, że „kto w tej sprawie idzie przeciwko Polakom z Berlinem, ten bardzo źle przysługuje się interesom Republiki. Dopuszcza się poprostu zdrady Republiki“. Pismo słusznie zwraca uwagę, że dopuszczenie do rewizji granic zachodnich Polski, nie mogłoby się nie odbić na Czechosłowacji, a zwłaszcza na jej granicy z Węgrami. Artykuł kończy się stwierdzeniem solidarności interesów Polski i Czechosłowacji.

Wymienione głosy prasy czeskiej notujemy z prawdziwą radością w „Morzu“. Są one dowodem, że kwestja i odbudowy polskiego stanu posiadania na Bałtyku jest należycie doceniana w Czechosłowacji, która dzięki Gdyni będzie mogła uniknąć pośrednictwa portów niemieckich, a tem samem uniezależnić swój eksport od pośrednictwa najgroźniejszego z konkurentów.

PIERWSZE W POLSCE REGATY KAJAKÓW

Regaty kajaków, urządzone w Warszawie dnia 4/IX b. r. na terenie gościnnego K.W. „Syrena“ przez Oddział Propagandy Szkutnictwa L. M. i K., były w świecie sportowym nielada rewelacją. Kajaki bowiem, uważane dotąd przez prerafinowanych sportsmanów za wodnych parjasów, nie tylko dnia tego zdobyły pełne prawa obywatelstwa na wodzie lecz, dzięki „zrobionym czasom“ weszły do ogólnego gmachu sportów wodnych frontem wejściem, wzbudza-

jąc podziw licznie zgromadzonych, a sceptycznie nastrojonych sportowców.

Do 12 biegów objętych programem stanęło w sumie 75 kajaków przy 131 zawodnikach. Biegi były urozmaicone okrażaniem boj, montowaniem śladaków na czas, przebywaniem przeszkód i t. p. co razem dało możliwość zawodnikom wykazania nie tylko siły i umiejętności wiosłowania, lecz i ogólnej sprawności, znajomości wody i wyrobienia sportowego. W biegach okrężnych start i meta były u przystani K. W. „Syrena“, co umożliwiało zainteresowanym widzom przyglądanie się zawodnikom przez cały czas biegów, i usunęło monotonię długodystansowych biegów prostych, kiedy publiczność widzi tylko finał u mety.

W biegu 1 nagrodę redaktora W. L. Everta dla dwuosobowych kajaków żaglowych — dystans 2500 m. zdobył klub Y. M. C. A. — czas 22 m. 25 s. drugie miejsce zajęła osada Propagandowych Warsztatów Szkutniczych L. M. i K., trzecie Oddział Wodny Związku Strzeleckiego. (Startowało 11 kajaków).

W biegu 2 nagrodę firmy „Wolbrom“ dla dwuosob. śladaków — dystans 1000 m. zdobył klub „Wisła“, złożenie składaka 8 m. 15 s. przebieg 6 m. 40 s.

W biegu 3 nagrodę Heleny Zahorskiej-Pauly dla jednoosob. kajaków — dystans 1000 m. zdobył klub „Syrena“ — czas 6 m. 26 s.

W biegu 4 nagrodę przechodnią Zarz. Gl. L. M. i K. dla dwuosob. kajaków uczniów szkół średnich — dystans 1000 m. — zdobyło gimnazjum Batorego — czas 5 m. 42 s.

W biegu 5 nagrodę Warsz. Okr. L. M. i K. dla czteroosobowych kajaków — dystans 1000 m. zdobyła osada Prop. Warsz. Szkut. L. M. i K. — czas 4 m. 40 s.

W biegu 6 nagrodę przechodnią redakcji „Wieczoru Warszawskiego“ dla dwuos. kajaków bez ograniczeń — dystans 2500 m. — zdobył Oddział Wodny Związku Strzeleckiego czas 17 m. 8 s., drugie i trzecie miejsca zajęły osady Prop. Warszaw. Szkut. L. M. i K. (startowało 21 kajaków).



Nagroda w biegu kajaków o „Mistrzostwo Warszawy“, zdobyta w dniu 18. IX. 1932 przez Oddział Propagandy Szkutnictwa Warsz. Okr. Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

W biegu 7 nagrodę firmy „B-cia Koponaccy” dla dwuosob. kajaków juniorów dystans 1000 m. — zdobyła załoga Prop. Warsz. Szkut. L. M. i K. czas 6 m. 15 s.

W biegu 8 nagrodę K. W. „Syrena” dla dwuosob. kajaków pań, — dystans 1000 m. zdobyła załoga Prop. Warsz. Szkut. L. M. i K. czas 6 m. 20 s.

W biegu 9 nagrodę Inż. A. Pauly dla dwuosob. kajaków pań, — dystans 1000 m. zdobył klub „Wisła” czas 5 m. 45 s.

W biegu 10 porównawczym normalnej 4-wiosłówki i 4-wiosłowego kajaka oznaki „Polacy na Morze” Zarządu Głównego L. M. i K. dystans 1000 m. obie osady uzyskały czas 4 m. 47 s — 4 m. 50 s.

W biegu 11 nagrodę Prop. Warsz. Szkut. L. M. i K. dla dwuosob. kajaków załogi mieszane dystans 1000 m. zdobyła załoga Prop. Warsz. Szkut. L. M. i K. czas 5 m. 59 s.

W biegu 12 nagrodę Oddziału „Prop. Floty Wojennej L. M. i K.” dla dwuosob. kajaków w biegu z przeszkodami (przeciągnięcie kajaka przez pontony portowe) dystans 1000 m. zdobył Klub „Wisła” czas 6 m. 42 s. 2 miejsce zajęła osada Związku Strzeleckiego, 3 osada

Prop. Warsz. Szkutn. (startowało 12 kajaków).

Regaty odbyły się przy pogodzie i silnym wietrze WtS., przechodzącym często przez W w WtN.

Jak widać z powyższego wyszczególnienia największą ilość zwycięstw przypadła załogom Oddziału Prop. Szkutn. L. M. i K., startującym na typach kajaków, wyrabianych przez Prop. Warsz. Szkutn. L. M. i K.

Rozwijający się wprost żywiołowo sport kajakowy i odbyte pierwsze regaty dały impuls do urządzania innych podobnych zawodów. — Związek kajakowców zachęcony wynikiem pierwszych regat, urządził w Warszawie w 14 dni później, t. j. dnia 18/IX b. r. drugie regaty kajaków na terenie K. W. „Wisła” — dystans 2000 m. z prądem. Program obejmował 9 biegów, z których kulminacyjnym był bieg o „Mistrzostwo Warszawy” dla dwuosobowych kajaków; nagrodę tę zdobyła również osada Prop. Warsz. Szkutn. L. M. i K.

Liga Morska i Kolonjalna, zachęcona propagandowymi wynikami odbytych regat projektuje na rok przyszły znacznie szersze ogólnopolskie regaty kajaków w Warszawie, po których nastąpi spływ floty kajaków do morza o „Nagrodę Bałtyku”, zakończony regatami na morzu o „Puchar Gdyni”.

REGATY JACHT KLUBU ODDZIAŁU L. M. i K. W MODLINIE

Nieco przydługie formalności „przepustkowe” przy bramie Ostrołęckiej, dokonywane mozolnie w czasie tropikalnego upału, nie uspasabiają optymistycznie. Zato po przejściu niespełna kilometra malowniczej drogi nad Narwią, kiedy strudzonego wędrowca powita wielki pas, umieszczony na okrągłej baszcie „Liga Morska i Kolonjalna”, kiedy ujrzy wielometrową banderę, zaś u stóp drogi przytuloną drewnianą przystań, pełną ruchu i gwaru, czarnych spalonych na brąz postaci, otoczoną wieńcem łodzi wszelkich rozmiarów i kształtów, humor poprawia się odrazu.

Wszak jeszcze przed rokiem baszta forteczna, w której obecnie mieści się przystań Ligi, była mizerną resztką spalonych w czasie wojny dawnych rosyjskich koszar, obdrapaną rudą, pełną walących się murów i rozsypujących się cegieł. Obecnie baszta nabrała odświeżonego wyglądu. Na wyasfaltowanym gładko jej szczycie mieści się obszerny taras, z którego rozciąga się rozległy widok, na zlewisko ciemnych, płynących z głębi lasów wód Bugo-Narwi i jasnych Wisły. Szerokie wygodne schody, połączyły taras z basenem pływackim.

Oprawdza mnie po swoim królestwie p. mjr. Andrzejowski, wice-prezes oraz założyciel oddziału modlińskiego Ligi, a zarazem prezes założonego niedawno Yacht-Klubu. Okazuje się w toku rozmowy, że oddział w Modlinie liczy już dzisiaj 700 członków, że obejmuje swą działalnością nie tylko oficerów i podoficerów garnizonu miejscowego, ale również dociera do sąsiednich miasteczek i wsi. Przystań i lokal Yacht Klubu są miejscem zebrania wszystkich sfer ludności Modlina i okolicy. Chlubą Klubu są wyrabiające się szybko na dobrych sportowców szeregi młodzieży, zarówno męskiej jak i żeńskiej żywiołowo garmące się do sportu wodnego. Mjr. Andrzejowski uważa dotychczasowy dorobek oddziału za pierwszy etap dokonanej pracy. W przyszłym już roku

na miejscu obecnej prowizorycznej drewnianej przystani ma stanąć wzorowa murowana zbiegająca tarasami aż do rzeki. Równocześnie projektuje się budowę lokalu zimowego klubu oraz powiększenie taboru łodzi.

Regaty wewnętrzne, które odbyły się w dniu 21 sierpnia r. b. były niejako

przeglądem sił klubu. Poniżej podajemy osiągnięte wyniki:

I. Juniorzy, bieg kajaków pojedynczych — odległość 500 m wygrał p. E. Wiśniewski w czasie 3 m. 45 s. przed p. T. Nicałkiewiczem, czas 4 m. 06 s.

II. Bieg dwójek klepkowych ze sternikiem — 1000 m.

1. Klub Wioślarski Nowy Dwór. Załoga łodzi: sternik Krzepelko, wioślarze Dąbrowski i Walczak czas 5 m. 06 s.

2. Yacht Klub Modlin. Załoga łodzi: sternik por. Erhart, wioślarze por. Gopiński i p. Lotosiński.

III. Bieg czwórek juniorów — 1600 m.

1. Łódź „Ewa” Sternik Sikorski, wioślarze Truskolaski, Straczyński, Łepkowski, Banasiak. Czas 6 m. 15.2 s.

2. Łódź „Hetman”. Czas 6 m. 20.2 s.

IV. Bieg kajaków podwójnych — 1000 m.

1. Yacht Klub Modlin: Truskolaski i Straczyński, czas 4 m. 23.25 s.

2. Klub Wioślarski Nowy Dwór: Karwowski i Ginalska, czas 4 m. 24 s.

V. Bieg czwórek seniorów — 1600 m. wygrała w niezłym czasie załoga łodzi „Hetman” w 6 m. 6.3 s. przed osadą łodzi „Ewa”, która osiągnęła wynik 6 m. 12 s.

W ostatnim biegu pań junierek, dzielnie sprezentowała się czwórka pań, która pod sterem p. Neklasowej osiągnęła czas na dystansie 1000 m. 12 s., witana na mecie gorącymi oklaskami i kwiatami. Licznie zgromadzona publiczność na przystani z żywym zainteresowaniem śledziła przebieg regat.

Wieczorem na oświetlonym tarasie przystani odbył się dancing towarzyski.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

REGATY W STAVANGER

Gdy statek szkolny „Dar Pomorza” zawinął do Stavanger w Norwegii, uczniowie Państw. Szkoły Morskiej, odbywający na „Darze Pomorza” pływanię ćwiczebne, zostali zaproszeni do wzięcia udziału w regatach wioślarskich z kadetami norweskimi statku szkolnego „Staadsraad Lehmkuhl”.

Regaty odbyły się dnia 4 września roku bieżącego.

Pogoda nie dopisała. Dął zimny wiatr północny i fala była duża. Załoga polskich kutrów była zebrana dorywczo i wskutek tego niezgrana, była lekko

ubrana, zziębnięta, zmęczona podróżą morską i wskutek długiego czekania na rozkołysanej fali na rozpoczęcie regat silnie zdenerwowana.

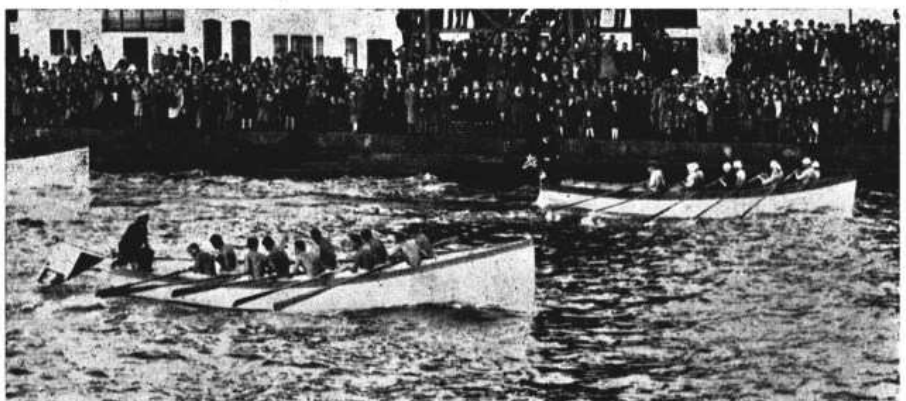
Finisz był wyznaczony w wewnętrznym basenie tak, że całe miasto wygłęło na nabrzeża i stojące okręty w porcie.

Wyniki na 1300 m. były następujące.

Kuter norweski — 6 min. 45 sek.

Kuter polski — 6 min. 46 sek.

Kuter polski przez cały czas płynął pierwszy i dopiero tuż przed finiszem został prześcignięty o 1/2 m.



Regaty polsko-norweskie w Stavanger w dniu 4. IX. 1932. Na pierwszym planie osada z polskiego statku szkolnego „Dar Pomorza”, w głębi osada norweska ze statku szkolnego „Staadsraad Lehmkuhl”.

W drugim biegu kuter polski przyszedł o 2 sek. później.

Jesli się weźmie pod uwagę że Norwegowie byli wypoczęci i mieli cięższe kutry lepiej trzymające się na dużej fali aniżeli lżejsze kutry polskie, a Polacy byli zmęczeni podróżą i mieli za-

logi niezgrane, to wyniki, jakkolwiek ujemne, można uważać za zadowalające, tembardziej, że Polacy przegrali w obu wypadkach tuż przed finiszem.

Na przyszły rok przewidziane są regaty rewanżowe z Norwegami.

ZGON HR. GRAVINY

Dnia 19 września b. r. zmarł w Gdańsku hrabia Manfred Gravina, Wysoki Komisarz Ligi Narodów dla Gdańska, piastujący to stanowisko od dnia 22 czerwca 1929 roku. Powodem niespodziewanego zgonu była spóźniona operacji wyrostka robaczkowego.

Hr. M. Gravina, którego pełne nazwisko brzmiało: hrabia Manfred Gravina z książąt di Ramacca, urodził się w 1883 r. w Palermo jako, po ojcu, hrabim Biagio, potomek starego sycylijskiego rodu arystokratycznego o pochodzeniu normadzkim. Matka zmarłego hr. Manfreda jest córką Cosimy Liszt z pierwszego jej małżeństwa z muzykiem hr. von Bülowem, po którego śmierci Cosima Liszt pojęła za męża Ryszarda Wagnera. Hr. Manfred Gravina rozpoczął karierę, jako oficer marynarki, przeważnie na okrętach, odbywających służbę na wodach Dalekiego Wschodu. W owym okresie był przez pewien czas konsulem Włoch w Szanghaju. Później,

wciąż w czasach przedwojennych, pełnił funkcje włoskiego attaché wojskowego w Berlinie. Uczestniczył w wojnie włosko-tureckiej o Tripolis, oraz w wielkiej wojnie światowej. Podczas wojny światowej odznaczył się kierownictwem operacji przeciw portom austriackim, przyczem za poszczególne wyprawy odznaczony został czterema medalami za męstwo (Medaglie al valore). W ostatnich miesiącach wojny był pierwszym adjutantem admirałissimusa Thaon di Revel.

Po wojnie, jako włoski attaché morski przy rządach państw skandynawskich, był jednym z pierwszych zachodnio-europejskich dyplomatów, którzy nawiązali kontakt z rządem sowieckim. W roku 1920 w Kopenhadze podpisał pierwszy układ włosko-sowiecki w sprawie nawiązania stosunków polityczno-gospodarczych. Porzuciwszy służbę wojskowo-dyplomatyczną, oddał się studjom politycznym i pracy pisarskiej.

Drukował artykuły i studia o sprawach polityczno-morskich w wielkim medjołańskim dzienniku „Corriere della Sera”, oraz w rzymskim miesięczniku „Nuova Antologia”, poczem wydał dwie książki p. t. „Attualità politiche” („Aktualności polityczne”), oraz „Problemi Italiani d'oltre Alpe e d'oltre mare” („Włoskie zagadnienia zaalpejskie i zamorskie”). Druga z tych książek ukazała się w druku już w czasie, gdy pełnił obowiązki komisarza Ligi Narodów w Gdańsku. Na stanowisko to mianowany został w następstwie udziału w delegacjach włoskich przy Lidze Narodów, oraz prac w rozmaitych instytucjach Ligi w latach 1924—1928. Okres jego urzędowania w Gdańsku, który kończył się w czerwcu b. r., przedłużony został, na krótko przed tym terminem, na dalsze trzy lata. Ostatnio wszakże uporczywie krążyły wiadomości, że hr. Gravina w najbliższym czasie sam zgłosi ustąpienie ze swego gdańskiego stanowiska. Prasa niemiecko-gdańska bardzo energicznie i kategorycznie wiadomościom tym zaprzeczała. Jednakowoż obecnie, jednocześnie z wiadomością o śmierci hr. Graviny, bliski jego osobie „Corriere della Sera” podał informację, (w numerze z dnia 20 września), że „miał on zamiar porzucić stanowisko Wysokiego Komisarza z chwilą, gdy tylko byłoby to technicznie możliwe, aby powrócić do spokojnej działalności w dziedzinie pisarskiej i narodowo-politycznej”.

KRONIKA

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Z JACHTINGU MORSKIEGO.

W ciągu lata r. b. ilość polskich jachtów morskich zwiększyła się o 4 dalsze jednostki, a mianowicie: „Orion”, kapitana mar. handl. Z. Deyczakowskiego, dwa wielkie jachty — „Temida I” (30 ton) i „Temida II” (13 ton) oraz jeden jacht Akademickiego Związku Morskiego w Gdańsku.

Jachty te przybyły do Polski morzem z załogą polską: obie „Temidy” z Lubeki, jacht AZM z Oslo i „Orion” z Göteborga.

W końcu czerwca zawinął do Gdańska w odwiedziny do polskiego Klubu Morskiego jacht „Gottenhjem” królewskiego szwedzkiego klubu żeglarskiego, z załogą składającą się z 13 osób. Po dwudniowym pobycie, jacht odszedł do Gdyni, gdzie był goszczony przez Yacht Klub Polski. Z Gdyni „Gottenhjem” odpłynął do Jastarni, a potem na wyspy Rugę i Bornholm, skąd powrócił do Szwecji.

W dniu 21 czerwca wyruszył z Gdyni pod banderą Yacht Klubu Polski jacht „Jurand”, udając się do Norwegii. 24. VI. „Jurand” zaszedł do Kopenhagi, następnie 30. VI. do Skagen. Po zwiedzeniu kilku fiordów, w dn. 19. VII. „Jurand” udał się w drogę powrotną, przyczem odwiedził Bergen i Göteborg. Jachtem dowodzi dr. Cz. Czarnowski z Wilna.

W pierwszej połowie lipca jachty „Temida I” i „Temida II” odbyły podróż ćwiczebną do Szwecji, mając na pokładzie uczestników Ośrodka Morskiego w Gdyni. Godnem uwagi jest, że załoga „Temidy II” składała się wyłącznie ze słuchaczy kursu żeglarskiego.

Prócz kursu żeglarskiego, prowadzonego przez Ośrodek Morski w Gdyni, podobny kurs został uruchomiony w r. b. również przez Akademicki Związek Morski w Gdańsku. Obydwa kursy, odbywające się dla dwóch kolejnych grup uczestników, cieszyły się wielkim powodzeniem, co jest dowodem stale rosnącego zainteresowania żeglarsstwem na morzu.

Dowodem zainteresowania się tym sportem w Polsce jest także fakt, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej, piastujący już od roku godność Komandora Honorowego Yacht Klubu Polski, na



Chińska Misja Oświatowa zwiedziła Gdynię w dniu 15. IX. 1932. Na zdjęciu członkowie Misji przed gmachem Państwowej Szkoły Morskiej w towarzystwie dyrektora Szkoły p. A. Mohuczego.

„Święcie Morza” obecny był w mundurze tego Klubu. W r. b. ustanowił On piękną przechodnią nagrodę regatową dla klubów żeglarskich.

Jednym z niedomagań naszego żeglarsstwa morskiego jest dotychczas brak odpowiedniej przystani w porcie gdynińskim. Użyte przez port miejsce przy moło Wilsonowskim jest niedostatecznie osłonięte przed działaniem fali, co przy silnych wiatrach powoduje częste zrywanie się jachtów z boj i niebezpieczeństwo rozbicia ich o falochrony.

OTWARCIE KANAŁU WELLAND.

W sierpniu, w czasie konferencji w Ottawie, odbyło się, przy udziale delegatów na konferencję, otwarcie kanału wellandzkiego, wybudowanego kosztem 130 milj. dolarów na terytorjum Kanady pomiędzy jeziorami Erie i Ontario.

Różnica poziomów pomiędzy obu jeziorami wynosi 100 m. W kanale więc, mającym 45 km. długości zostały wybudowane obszerne śluzy, które mogą statki długości 200 m. swobodnie przejść. Czas przebycia śluz i przepłynięcia kanału obliczony jest na 8 godzin. Celem wykazania sprawności działania wszystkich urządzeń, przepłynął kanałem i przebył śluzy, w obecności delegatów, statek z ładunkiem 15.000 ton pszenicy.

Wybudowany i oddany do użytku publicznego kanał jest tylko częścią tych robót, jakie mają być wykonane w związku z ulepszeniem żeglugi na rzece Św. Wawrzyńca. Cały plan zmierzający do zbudowania szeregu kanałów śluzowych, którymi w czasie przypływu morza mogłyby duże statki morskie

wpływać na wielkie jeziora. Ma to olbrzymie znaczenie dla komunikacji morskiej, albowiem w ten sposób porty nad pięciu jeziorami, położone o kilkaset kilometrów od morza, staną się portami morskimi.

WYDOBYCIE „NIOBE”.

Niemiecki statek szkolny „Niobe”, który zatonał dnia 26 lipca r. b. w czasie niespodziewanego huraganu na Bałtyku, został wydobyty.

Trudności przy wydobywaniu statku na powierzchnię morza były poważne. Statek leżał na dnie morza w głębokości 29 m. z całym ożaglowaniem, które nurkowie musieli najpierw usunąć. Okazało się, że odpiłowanie masztów jest niemożliwe. Złożono więc dynamit, którego wybuch oderwał maszt od kadłuba. Pracę nurków utrudniał zmieniający się prąd morski, płynący raz w kierunku wschodnim, to znów w zachodnim, oraz silne wiatry tak, że usuwa-

nie masztów i ożaglowania trwało 6 dni.

Po założeniu stalowych lin o średnicy 20 cm. pod zatopiony statek, niespodzianie zerwał się gwałtowny wiatr zachodni. Statek wydobywający okazał się za słaby i musiano go zmienić. Gdy to uskuteczcono, znów zerwał się silny wiatr wschodni. Stracono razem 3 dni, aby po uływie tego czasu przekonać się, że nacięte na wzór pily łańcuchy, które zastąpiono liny, obsunęły się z zatopionego kadłuba.

Musiano więc nanowo przeciągać stalowymi linami zębate łańcuchy pod kadłubem, na co zużyto 2 dni.

Wreszcie udało się podnieść statek na powierzchnię i przyholować go z wielkimi trudnościami do portu w Kilonii, gdzie „Niobe” będzie doprowadzony do dawnego stanu i oddany do użytku niemieckiej szkole morskiej, jako żaglowy statek szkolny.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl 

KSIAŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

„DZIESIĘCIORO O POMORZU”

Nakładem zasłużonego Instytutu Bałtyckiego w Toruniu ukazała się niewielka, ale także cenna książeczka, o tytule nieco archaiczno-bliźnim „Dziesięcioro o Pomorzu”. Jest to w formę ogromnie skondensowaną ujęte dziesięć prawd o Pomorzu. Każde zdanie tej książeczki jest dokładnie rozważone, każde zdanie ma swe uzasadnienie naukowe. Tekst pracy został sprawdzony i przejrzany, przed ukazaniem się w druku przez sześć dziesięciu najwybitniejszych uczonych polskich. Niema w tej książce żadnej fantazji, jest tylko prawda niezbita, na której poparcie w każdej chwili przytoczyć można dziesiątki dowodów.

Poszczególne rozdziały książeczki są następujące: I. Położenie geograficzne, II. Tytuł prawny, III. Przeszłość, IV. Stosunki narodowościowe, V. Kaszubi, VI. Znaczenie gospodarcze Pomorza, VII. Tranzyt przez Pomorze, VIII. Prusy Wschodnie kolonią niemiecką, IX. Pomorze nie jest „korytarzem”, X. Nierozzerwalność Pomorza z Polską — gwarancją pokoju światowego.

Całość ilustrowana jest 6 mapkami i wykresami. Charakterystyczna jest np. mapa rozmieszczenia ludności polskiej na Pomorzu przed wojną, zamieszczona na str. 9, i podana ściśle według mapy, znajdującej się w oficjalnym wydawnictwie Pruskiego Urzędu Statystycznego: „Statistischer Atlas. Berlin 1905”. Mapa ta ilustruje wyraźną i przyniatającą przewagę żywiołu polskiego na ziemi pomorskiej jeszcze przed wojną, w okresie najbardziej zażartej germanizacji ludności polskiej, zamieszkanej na ziemiach byłego zaboru niemieckiego.

W zakończeniu zamieszczono następującą odezwę do czytelnika:

Publikacja niniejsza została opracowana w Dziale Informacji Naukowej Instytutu Bałtyckiego na podstawie źródeł naukowych zarówno polskich, jak i niemieckich, których przytoczenie wychodzi poza ramy tej publikacji. — Instytut Bałtycki udziela natomiast wszelkich wyjaśnień, odnośnie źródeł, na których niniejsza publikacja jest oparta, podobnie jak i odnośnie wszelkich zagadnień naukowych, związanych z Pomorzem.

Adres: Instytut Bałtycki, Toruń, Żeglarska 7.

Książeczka ta ukaże się kolejno w tłumaczeniu na następujące języki: angielski, francuski, włoski, niemiecki i szwedzki. Powinna ona spełnić dobrze swe zadanie.

Wydanie polskie „Dziesięcioro o Pomorzu” winno się znaleźć w ręku każdego Polaka. Będzie ono bronią do walki z propagandą niemiecką, nieraz przejawiającą się w najmniej oczekiwanej formie. Na każdy „argument” niemiecki znajdzie w niej czytelnik niewzruszony, niezbity kontrargument.

Przystępna cena (50 groszy) pozwala naprawdę każdemu na nabycie tej książeczki.

H. T.

Inż. Julian Ginsbert: PRAWDA MORSKA — Stron 31.

Pod tym tytułem ukazała się interesująca broszura pióra znanego propagatora morza, inż. Juliana Ginsberta, która jest rozwinięciem drukowanych w swoim czasie w „Morzu” p. t. „Analogie i przeciwieństwa” rozważań nad dziejami rozwoju sił morskich naszych sąsiadów: Niemiec i Rosji. Dzieje te są dla nas bardzo pouczające. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia Niemcy byli nie mniej lądowym narodem, jak my, Polacy, w roku 1920. I jednak dzięki energii i zrozumieniu znaczenia morza, z początku także tylko u jednostek, w ciągu kilkunastu lat wysunęli się na jedno z pierwszych miejsc wśród narodów morskich świata. Rosjanie, mimo olbrzymich możliwości, nie zdobyli się na jakąś, zdecydowaną linię i ciągłość pracy w zakresie rozbudowy floty. Konsekwencją tego była przegrana wojny japońskiej, która stała początkiem upadku kołosa rosyjskiego. Uświadomienie sobie przez obecne pokolenie, idące zwycięsko na podbój morza, błędów własnych i obcych, jak również cudzych sukcesów, będących wynikiem zdecydowanego działania, jest podstawowym obowiązkiem. Książka ta może w dużym stopniu przyczynić się do pogłębienia świadomości zagadnień morskich wśród społeczeństwa polskiego.

H. T.

ROCZNIK RADY INTERESANTÓW PORTU W GDYNI. Rok I, 1931. Stron 154. 1 mapa.

Nakładem Rady Interesantów Portu w Gdyni, z inicjatywy prezesa Rady

p. inż. N. Korzóna, ukazało się cenne, wszechstronnie opracowane wydawnictwo, które nie tylko ujmuje najważniejsze dane, dotyczące działalności portu gdyńskiego i żeglugi w roku ubiegłym, ale przynosi także obfity materiał statystyczny od początku istnienia portu. Szereg uwag ogólnych, omawiających funkcje poszczególnych czynników gospodarczych w porcie i w żegludze, doskonale uzupełnia całość, i z pracy, która miała być sprawozdaniem z działalności Rady Interesantów Portu w Gdyni, czyni niezbędny niemal informator dla każdego, kto choćby w niewielkim stopniu interesuje się sprawami Gdyni i morza polskiego.

Część pierwsza rocznika mówi o zadaniach i o strukturze organizacyjnej Rady Interesantów Portu w Gdyni, część druga, cztery razy obszerniejsza, mówi o Gdyni w roku 1931.

Część I liczy trzy rozdziały. Pierwszy — to uwagi ogólne. Już z pierwszego rzutu oka na ten rozdział wypukła się wyraźnie charakter i cel publikacji. Jest ona przeznaczona nie tylko dla firm związkowych jako sprawozdanie z działalności Rady, ale stara się — i słusznie — dać możliwie jasny i zrozumiały obraz dla szerszych warstw naszego — niestety wciąż jeszcze zbyt lądowo nastawionego, życia gospodarczego. Wyjaśnia więc w tym miejscu autor pracy, kto to jest armator, makler i ekspedytor, jaki jest zakres ich działania, jak ich praca wzajemnie się o siebie w każdym porcie zajeżdża. Wylicza następnie pięć organizacji zawodowych, które zrzeszają pięć głównych czynników pracy portowej w Gdyni. Są to: Związek Gdyńskich Ekspedytorów Portowych, Związek Przedstawicieli Koncernów Węglowych w Gdyni i Związek Przemysłowców Portowych w Gdyni. Związki te, aczkolwiek ich interesy zawodowe są nieraz rozbieżne, połączyły się w Radę Interesantów Portu, i w ten sposób powstała wspólna reprezentacja sfery gospodarczo-portowych w Gdyni.

W dwóch rozdziałach następnych autor omawia zadania i strukturę Rady Interesantów Portowych oraz związków do niej należących.

Część II rocznika — jak już wspominaliśmy — znacznie obszerniejsza, omawia rozwój portu gdyńskiego w roku 1931, przyczem praca uwzględnia w szerokim zakresie i poprzednie lata rozwoju Gdyni, podając wiele szczegółowych danych statystycznych od chwili powstania portu.

W części tej omówione są obszernie następujące zagadnienia: stan i warunki pracy polskiej floty handlowej, ruch statków w porcie gdyńskim, obrót towarowy i eksploatacja urzędzeń portowych w Gdyni, przemysł portowy w Gdyni oraz szereg innych zagadnień, jak rozbudowa portu, jego eksploatacja, inwestycje kolejowe w porcie, zagadnienia pocztowo-telegraficzne Gdyni, praca w porcie i w żegludze, zagadnienia celne, ustrój administracyjny portu, sprawy administracyjne portu, sprawy podatkowe, samorząd gospodarczy w Gdyni, konsulatory państw obcych i t. p.

Szkoda tylko, że podany na końcu książki planik portu gdyńskiego, jest przestarzały i nie uwzględnia ostatnich zmian w konfiguracji basenów portowych.

Ukazanie się tego rodzaju wydawnictwa poraz pierwszy w dziejach portu gdyńskiego, należy powitać z uznaniem. Autorowi pracy, którym jest dyrektor

Rady Interesantów Portu w Gdyni, dr. Bolesław Kasprowicz, należy się uznanie oddzielne za rzetelny wysiłek i sumienne opracowanie tematu.

H. T.

NOWY PODRĘCZNIK MORSKI.

Nakładem Biura Hydrograficznego Marynarki Wojennej ukazał się „Spis latarni i sygnałów nawigacyjnych wybrzeża polskiego i W. M. Gdańska”, str. 233+XVI.

Jest to książka podręczna oficera nawigacyjnego i kapitana morskiego jachtu sportowego, informująca go o poszczególnych latarniach morskich i sygnałach nawigacyjnych na naszym wybrzeżu, zaopatrzona wyjaśnieniami działania różnego rodzaju sygnalizacji.

Obejmuje ona: latarnie i znaki morskie świetlne, radiolatarnie i sygnały mgłowe, stacje sygnałowe, ostrzegawcze i ratownicze, sygnały czasu, radiostacje, oraz szereg wiadomości dodatkowych, mapek, planów, tablic i rysunków.

PIEŚNIARZ KASZUBSKI.

Wydawnictwo zasłużonego na Kaszubach czasopisma „Gryf” w Kartuzach za-

powiada wydanie pieśniarza kaszubskiego, który ma objąć cały dorobek kaszubski w dziedzinie pieśni ludowej.

Pieśniarz ten, składać się będzie z 3 części. W pierwszej zamieszczone będą pieśni ludowe z powiatu morskiego z melodiami i dodatkiem naukowym, zebrane i opracowane przez Jana Patocka, druga zawierać będzie 250 kaszubskich przyspiewek do tańca, trzecia wreszcie obejmie resztę pieśni kaszubskich.

Jak doniosłe znaczenie kulturalne posiadać będzie zamierzone dzieło, o tem niech świadczy fakt, że nie posiadamy zbioru pieśni kaszubskich, bo ani w zbiorach pieśni ludowej Kolberga, ani Glogera ziemi kaszubskiej nie uwzględniono.

„Pieśniarz Kaszubski” powinien znaleźć się w rękach każdego nauczyciela i oświatowca na Pomorzu, w rękach regionalisty, każdego specjalisty w tej dziedzinie, wreszcie w każdej bibliotece szkolnej i publicznej na terenie całej Rzeczypospolitej.

Cz. I „Pieśniarza Kaszubskiego”, zatytułowana „Kopa szetopórk” jest już w przygotowaniu. Zawierać będzie w

pierwszym wydaniu, prócz 60 pieśni ludowych z melodiami, dodatek naukowy, wyjaśniający m. in. wiek, pochodzenie, warianty poszczególnych pieśni i kosztować ma w handlu księgarskim 3 zł.

Wydawnictwo Spółdzielnia Wydawnicza z ogr. por. „Gryf” — (Kartuzy, Wzgórze Wolności 5a) przyjmuje zgłoszenia wcześniejsze, przyczem w przedpłacie cena cz. I. Pieśniarza wynosi 2,50 zł. Wpłatę należy wносить na konto P. K. O. Nr. 200.431.

Gdynia i wybrzeże — przewodnik — pamiątka z pierwszego „Święta Morza” 1932 r. str. 82 i 2 mapy. Cena 1 złoty.

Nakładem Polskiego Biura Podróży ukazał się ilustrowany przewodnik po Gdyni i Wybrzeżu, zawierający wyczerpujące informacje dla turystów, udających się na wybrzeże. Przewodnik ze względu na niską cenę, oraz przejrzysty układ treści, obejmującej wszystko to, co może zainteresować przybysza nad morze i umożliwić mu zwiedzenie wybrzeża, zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



DZIAŁ OFICJALNY L. M. i K.

NOWA RADA I NOWY ZARZĄD GŁÓWNY L. M. i K.

W dn. 11 września b. r., pod przewodnictwem prezesa, p. Józefa Kożuchowskiego, odbyło się pierwsze po walnym zjeździe delegatów L. M. i K. we Lwowie posiedzenie Rady Głównej L. M. i K., przy obecności 45 członków.

Zgodnie z porządkiem obrad Rada dokonała wyboru pozostałych członków Prezydium, w skład którego weszli p. p.: dyr. St. Nowak — I wice-prezes, mec. Antoni Rostek — II wice-prezes oraz jako sekretarz nacz. wyd. Apoloniusz Zarychta.

Następnie przystąpiono do wyboru członków Zarządu Głównego, którego skład przedstawia się następująco, członkowie: gen. dyw. G. Orlicz-Dreszer, marsz. J. Dębski, dr. W. Rosiński, dyr. E. Kłopotowski, gen. bryg. S. Kwaśniewski, dyr. L. Lewandowski, A. de Rosset, mjr. M. Fularski, kpt. M. B. Lepecki, kmr. S. Frankowski, nacz. F. Rostkowski, dr. prof. Kozubski, pos. L. Tomaszewicz, płk. S. Brzeszczyński, płk. S. Strzemiński, zastępcy: płk. T. Zieleniewski, inż. J. Horoch, inż. J. Ginsbert, dr. H. Gnoiński, C. Zagórski, S. Zieliński, dr. Biernacki.

Sprawozdanie z działalności L. M. i K. za okres od dn. 1. IV. do dn. 1. IX. b. r. złożył dr. Czerwiński, zaznaczając, że okres wakacyjny, jeśli weźmiemy pod uwagę dokonane prace ze „Świętem Morza” na czele, które było pomyślnie zdany egzaminem sprawności organizacji, bynajmniej nie wpłynął na osłabienie tempa rozwoju Ligi, Sprawozdanie to Rada Główna przyjęła do wiadomości.

Program prac Ligi w ciągu roku 1932/33 zreferował gen. G. Orlicz-Dreszer, omawiając kolejno najważniejsze dziedziny prac L. M. i K., a więc zagadnienia morskie, żeglugi śródlądowej,

oraz kolonjalne. Mówca stwierdził, że chwila obecna wymaga od Ligi przejścia do działalności praktycznej na wszystkich polach pracy, jak również dążenia maksymalnego wysiłku, celem dalszej rozbudowy organizacji, zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. W dyskusji, jaka się rozwinęła zasługuje na podkreślenie głos delegata Gdańska, dyr. Czarnowskiego, który dał wyraz konieczności wzmocnienia polskości na tym terenie.

W dn. 12 września odbyło się pierwsze posiedzenie nowoobranego Zarządu Głównego L. M. i K. Zgłoszona lista przez p. Gen. Kwaśniewskiego kandydatów do prezydium w składzie: prezes gen. dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer, wice-prezes — marsz. Jan Dębski, sekretarz — dr. Wiktor Rosiński, oraz skarbnik — dyr. Edmund Kłopotowski została przyjęta.

Następnie dokonano wyborów na przewodniczących wydziałów i komisji które obsadzono następująco: Wydział Morski — marsz. J. Dębski, Żegluga Śródlądowej — gen. St. Kwaśniewski, Kolonjalny — płk. T. Zieleniewski, Komisja Organizacyjno-Propagandowa — mjr. M. Fularski, Wydawnicza — kpt. M. B. Lepecki.

Po wyborach rozwinęła się obszerniejsza dyskusja ogólna nad programem prac Wydziałów i Sekcyj.

Pełny skład Wydziałów, Sekcyj i Komisji oraz program prac, Zarządu Głównego po jego ostatecznym ustaleniu podamy w najbliższym numerze „Morza”.

K.

ZE STOLECZNEGO ODDZIAŁU LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

Zawiadamia się, że od dnia 15 września r. b. Sekretariat Oddziału urzęduje we wszystkie dni tygodnia w godzinach od

12.30 do 14.30, zaś w środy i soboty od godziny 17.30 do 18.30 w lokalu Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Nowy Świat 35.

Na ostatniem Zebraniu uchwalono przystąpić do zrealizowania inicjatywy budowy świetlicy Ligi M. i K. na Helu, na terenie przydzielonym przez Dyрекcję Lasów Państwowych i w tym celu wyłoniono Komitet Wykonawczy w osobach: prezesa. — X. W. Kneblewskiego, prof. Fr. Szwocha, insp. St. Trzepakko i prof. Buraczewskiego.

Z okazji 10-lecia bratniej organizacji jugosłowiańskiej „Jadranska Straža” Oddział Stołeczny L. M. i K., urządza Akademię, poświęconą propagandzie Mórz Słowiańskich.

Kondolencje.

Z powodu tragicznego zgonu s. p. por. Fr. Zwirki i s. p. inż. St. Wigury Liga Morska i Kolonjalna wystosowała depesze kondolencyjne do Pani Zwirkowej, do rodziny s. p. inż. Wigury, do Aeroklubu Rzeczypospolitej i do Departamentu Lotnictwa M. S. Wojsk.

KOMUNIKAT.

W dn. 2 października r. b., jako w pierwszą niedzielę „Dwutygodnia Propagandowego L. M. i K.” Zarząd Główny i Okręg Warszawski urządzają poranek propagandowy w wielkiej sali kinoteatru „Colosseum” w Warszawie.

Odczyt o znaczeniu morza i naszej ekspansji zamorskiej dla państwa, ilustrowany przezroczami, wygłosi prezes Zarządu Głównego L. M. i K. gen. Gustaw Orlicz-Dreszer. Poza tem zostaną wyświetlony szereg aktualnych filmów morskich. Początek Poranku punktualnie o g. 12 w poł.

PIONIER KOLONIALNY

ORGAN ZWIĄZKU PIONIERÓW KOLONIALNYCH

HANDEL POLSKI Z KRAJAMI POZAEUROPEJSKIEMI

Zagadnienie naszej ekspansji handlowej na pozaeuropejskie rynki zbytu ma pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju naszego gospodarstwa narodowego.

Liga Morska i Kolonialna od szeregu lat dąży usilnie do zwrócenia uwagi społeczeństwa polskiego i jego sfer gospodarczych na czynniejsze, aniżeli dotąd, zajęcie się skierowaniem handlu polskiego do pozostałych części świata i nastawieniem importu z krajów pozaoceanicznych na porty polskie — Gdynię i Gdańsk.

Dużo jednakże czasu jeszcze upłynie i dużą będziemy musieli przeprowadzić pracę w kraju, wśród naszego przemysłu i handlu, zanim zdołamy przełamać zapory zależności, jakie dzielą nas od ekspansji na szerszy świat.

W latach poprzednich, a więc w 1929 i 1930, eksport nasz poza Europę wynosił 4,7 i 5,1% całego wywozu Polski, ponieważ w 95,3 i 94,9% zbywaliśmy swój wywóz w krajach Europy.

Rok 1931 wykazuje wprawdzie pewną poprawę tego procentu, gdyż określa wywóz nasz poza Europę liczbą 5,9%, t. j. o ca 0,8% więcej, niż w roku 1930. Jeżeli przyjrzymy się jednak wartości naszego wywozu na pozaeuropejskie rynki zbytu w tych latach, to zobaczymy, że w 1930 roku wywieźliśmy za oceany towarów wartości 122,8 milionów zł., a w roku 1931 już tylko za 110,2 milj. złotych, a więc mniej mimo pozornej poprawy procentu udziału naszego w eksporcie za Ocean.

Pierwsza połowa roku 1932 przedstawia się pod tym względem znacznie gorzej. Wywieźliśmy bowiem do krajów pozaeuropejskich

56,2 milj. zł. w I półroczu roku ubiegłego).

Jak niekorzystnie przedstawia się nasz bilans handlowy z krajami pozaeuropejskimi w I połowie r. b., ilustruje najlepiej przytoczona tabela.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

	w 1000 złotych:		
	przewóz	wywóz	różnica
Ogółem	433.612	539.941	+105.429
Europa	320.916	505.107	+184.191
Azja	20.657	13.635	+ 7.012
Ameryka Półn.	48.276	5.075	— 43.201
Ameryka Połud.	19.261	3.128	— 16.133
Ameryka Środ.	3.767	145	— 3.622
Afryka	11.431	6.465	— 4.966
Australja z Oceanja	9.006	23	— 8.983

Druga z kolei tabela jaskrawiej jeszcze przedstawia naszą wymianę towarową z krajami zaoceanicznymi z jej stroną ujemną, mimo, że w krajach tych, jak np.: w Stanach Zjednoczonych Ameryki w Kanadzie, w Brazylii i w Argentynie posiadamy liczne kolonie polskie, a co za tem idzie, że tamtejsi rodacy nasi posiadają pewien wpływ na handel (szczególnie detaliczny) miejscowy.

Kraj	w 1000 złotych:		
	przywozimy	wywozimy	różnica
Stany Zj. Am. Półn.	48.001	4.696	— 43.305
Kanada	242	379	+ 137
Argentyna	9.310	2.441	— 6.869
Brazylja	7.325	274	— 7.051

Na 65 milionów złotych przywozu z tych czterech krajów, na których terenie zamieszkuje około 5 miljo-

nów Polaków, zdołaliśmy tam wywieźć tylko za 7,5 milj. zł. towarów, czyli dziewięć razy mniej niż stamtąd przywieźliśmy.

Gdzie należy przeto szukać przyczyn tego wysoce niekorzystnego stanu rzeczy w naszym obrocie towarowym z krajami zaoceanicznymi?

Czy nie rozporządzamy odpowiednimi towarami na te rynki? Czy pojemność tych rynków ograniczona?

Ani jedno, ani drugie.

Rozpatrując nasze możliwości wywozowe, widzimy, że dysponujemy na eksport takimi, powszechnie nabywanymi towarami i surowcami, jak węgiel, nafta, sól, cukier, bekon, masło, jaja, spirytus pasza, drzewo, nasiona, wyroby z gumy, nawozy sztuczne, wyroby kotlarские i rury, naczynia blaszane emaljowane, drut i gwoździe, cynk, ołów, żelazo i stal, tkaniny wełniane i bawełniane, sztuczny jedwab i odzież ect.

Bardzo wiele z tych artykułów może iść z powodzeniem na poza europejskie rynki zbytu, które są dość obszerne i na których z powodu taniości naszych produktów możemy skutecznie konkurować.

Jak wielką pojemność mają rynki zaoceaniczne ilustruje następująca tabelka za rok 1930, a więc już rok kryzysu światowego: (Import w miliardach złotych).

Stany Zjedn. Ameryki Półn.	27,3
Kanada	8,9
Brazylja	2,4

Nic więc dziwnego, że ekspansja handlowa innych krajów czyni wszystko, aby dotrzeć ze swoim towarem na te rynki. Najlepszym dla nas przykładem pod tym względem są Niemcy. Bilans handlowy nie-

miecki kształtuje się radykalnie różnie od naszego. Zestawienie obrotu handlowego za rok ubiegły (1931) Niemiec wykazuje, że kraj ten na rynki pozaeuropejskie zdołał wywieźć w tym okresie ca 19% całego eksportu swoich produktów. W przeliczeniu na złote stanowi to olbrzymią sumę około 4 miliardów złotych (my zaś w tym samym roku 1931 wywieźliśmy tylko za 110 milj. zł., co stanowiło jak wspomnieliśmy poprzednio 5,9% naszego eksportu).

W najlepszym wypadku, proporcjonalnie do naszego stanu wywozu, byliśmy w roku 1931 przeszło trzy razy gorsi w naszej ekspansji od Niemiec, nie mówiąc już, że w stosunku do wartości wywozu niemieckiego poza Europę (4 miliardy) byliśmy gorsi przeszło 36 razy, chociaż nie jesteśmy przecież trzydziści sześć razy gospodarczo słabsi od Niemiec.

Nasz wybitnie pasywny bilans handlowy z krajami zaoceanicznymi pochodzi stąd, że nie nastawialiśmy się dostatecznie na szerszy, pozaeuropejski świat. Gospodarczo wciąż jesteśmy niejako zakopani w Europie. Nie zdołaliśmy jeszcze nawiązać poważniejszych stosunków gospodarczych z krajami z tamtej strony oceanów.

Te i owe wypadki, gdzie udaje nam się wywozić poważniejsze partie naszych towarów za ocean — stanowią kroplę w morzu dla naszych istotnych możliwości. Chodzi tutaj o przełamanie psychiki naszych sfer kupieckich, chodzi o jej nastawienie na dalekie rejsy za-

oceaniczne. Chodzi o to, aby kupiec polski nie wyczekiwał biernie aż zjawi się u niego egzotyczny, czy zamorski nabywca, ale żeby sam tego nabywcy szukał. Żeby poza tem nie kalkulował mu swego towaru w dolarach, pesetach, czy jenach — lecz oferował według kalkulacji istotnej i normalnego zysku. Chodzi o to wreszcie, aby kupiec polski rynków amerykańskich, azjatyckich, afrykańskich i australijskiego nie traktował, jak świat zabity deskami i dlań niedostępny, lecz jako teren dla swej ekspansji i do zdobycia.

Temi przecież, a nie innemi, drogami szła i idzie ekspansja handlowa zachodnich narodów europejskich i temi drogami szła i idzie ekspansja handlowa Niemiec.

Wszyscy wiemy, że energiczniejsze firmy polskie umieją eksportować nasze towary do Japonji, Chin, Afryki Południowej, Argentyny. Idzie tam już nasz węgiel (Argentyna), dykta i tekstylja (Afryka), rury (Japonja i Chiny) — mogą więc iść te i inne towary także do innych krajów poza Europę.

Musimy pamiętać, że faktyczna niezależność naszego handlu zagranicznego tkwi w możliwie najszerzym zasięgu rynków dla naszego eksportu. Zbytne uzależnianie się od niewielu miejsc zbytu grozi nam skrzepowaniem naszych posunięć gospodarczych, nie tylko na zewnątrz, lecz i na wewnątrz. Z przyjemnością n. p. możemy stwierdzić fakt, że w roku 1931 eksportowaliśmy do Niemiec tylko 16,8% naszego wywozu, a nie jak w roku 1924, kiedy

wywóz nasz do tego kraju wynosił aż 43,2%, co w dużej mierze krępowało swobodę naszej polityki gospodarczej w stosunku do zachodniego sąsiada.

Żeby jednak nasze życie gospodarcze i nasza ekspansja handlowa weszły ostatecznie na szeroki gościniec wymiany towarowej z krajami zaoceanicznymi — potrzebne są prace przygotowawcze i, ze strony naszych czynników państwowych.

Właściwie mówiąc, to dzisiaj posiadamy prawie że wyłącznie traktaty handlowe z krajami europejskimi, poza modus vivendi z Ameryką Północną, oraz traktatami z Indjami, Chinami i umową tymczasową z Brazylią.

Prace nad unormowaniem stosunków między Polską a krajami zaoceanicznymi należałoby jak najszybciej rozpocząć. Kraj nasz powinien w drodze umów handlowych zabezpieczyć sobie wszystkie możliwe korzyści na wszystkich kontynentach (a nie tylko w Europie), co znakomicie utoruje drogi dla naszej ekspansji handlowej.

Zdobycie nowych rynków zbytu poza Europą odbija się wydatnie na rozwoju ekonomicznym naszego kraju, stwarzając możliwości otwarcia zamkniętych warsztatów pracy dla dziesiątków tysięcy ludzi.

Pierwsze poważniejsze kroki poczynić musimy, aby „odkryć” dla naszej ekspansji gospodarczej „nieznane” jej rynki zbytu.

Pomoc i opieka a nawet do pewnego stopnia i ingerencja Państwa — ma tutaj znaczenie bardzo duże.

DR. W. ROSIŃSKI.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



STEFAN ROGOZIŃSKI

W niespełna 20 lat po powstaniu styczniowym, w czasie panowania władczego hasła „bogaćmy się”, młody, dwudziestoletni zapaleńiec rzuca myśl wyprawy naukowej polskiej do nieznanych ładów, zbadania ich i zdobycia w dzikich puszczech kameruńskich punktu oparcia dla nowej Polski niepodległej.

Szalenie! Tym był Stefan Szoltz-Rogoziniński dla jednych, dla drugich dowodem, że zapal dla czynów niezwykłych, do rzeczy nieprzeciętnych nie wyginał w narodzie, goniącym za mamoną, mającą być szczytem patriotyzmu popowstaniowego.

Rogoziniński rzuca myśl. Nietylko rzuca, ale i z całym zapalem młodego idealisty, nie bacząc na przykrości moralne i trudności

materiałne, wprowadza w czyn i przeprowadza do skutku.

Wyprawa naukowa polska do Afryki, to rzecz zaprawdę niesłychana w roku 1882, przedsięwzięcie, które nie mogło nie poruszyć apatycznego społeczeństwa, a przynajmniej jego części myślącej, interesującej się sprawami publicznymi.

Sam fakt ekspedycji naukowej, polskiej ekspedycji naukowej, polskiej i środkami finansowymi stworzonej, był czemś uderzającym. Wszak byli w tym czasie, byli i przedtem i potem badacze polscy, którzy wzdłuż i wszerz świat cały przemierzali, od mroźnych tajg Sybiru, jak Dybowscy, Czekanowscy, Czerscy i tylu innych, do skwarnych pustyń Sahary, niebotycznych An-

dów chilijskich i nieprzebranych puszczy południowo - amerykańskich; był to właśnie czas, gdy, dzięki ofiarności Branickich, po Dalekim Wschodzie, po Afryce Północnej i Chile i Peru wji Karlinowscy, Stolcmani, Jelscy, Bariejowie, Młokosiewicz chadzali, badając faunę i florę nieznanych krajów, studiując ludność dzisiejszą i dociekając zagadek jej przeszłości.

A jednak — jest różnica ogromna między temi poczynaniami a wyprawą afrykańską Rogozinińskiego.

Tamte poczynania, to były indywidualne przeważnie badania uczonych, które społeczeństwu wносиły w dorobku przebogate zbiory, rewelacyjne nieraz spostrzeżenia i odkrycia i do ogólnę-

go dorobku naukowego wносиły walny przyczynek trudów polskich. Ale trudy te ginęły po części bezimiennie, t. j. ginęły jako polskie, rozplywały się pod ogólnym mianem nauki i tyłko nauki.

Rozumiał to ów młodzieniaszek i nie o sam zaszczyt wzbogacenia dorobku naukowego szło Rogozińskiemu, ale o to, aby ten dorobek nazywał się polskim i trwał i przeszedł do potomności, jako zdobycz polskiej wyprawy naukowej.

To jedno — o czym się mówiło i pisało. A o czym pisać nie wolno było, lecz tylko można było mówić szeptem, wśród wtajemniczonych, to była Polska niepodległa, odkrycie i zdobycie szmatu odległej ziemi afrykańskiej pod własną, niezawisłą kolonję.

To był sens, cel główny wyprawy Rogozińskiego i w tem tkwi jej ogromna ważność. W chwili, gdy naród pozbawiony jest morza, pozbawiony jest państwa i rządu własnego, rzuca się Rogoziński, by — mimo tych braków kardynalnych — zdobyć własną kolonję. Mimo i właśnie wskutek braku państwa własnego — a postanawia to i w czyn obleka ten dwudziestoletni Stefan Scholtz!

Scholtz, czy Rogoziński?

Rogoziński! W tem tkwi najwspanialszy dowód tendencji młodego oficera rosyjskiej marynarki wojennej, bo młody Stefan Scholtz przybiera nazwisko matki, po to by polskim nazwiskiem organizatora i dowódcy wyprawy, ekspedycji naukowej do Kamerunu, nadać i nazewnaczyć, wobec obcych, wyraźne piętno polskie.

A więc „afrykańska wyprawa polska Rogozińskiego“ — tak pragnął inicjator i tak niechaj będzie!

Urodzony w Kaliszu 14 II 1860 roku Stefan Rogoziński był synem bogatego przemysłowca ткаckiego, pochodzącego z rodziny niemieckiej, Ludwika Scholtza i Malwiny z Rogozińskich. Stefan był najstarszym z czterech braci, z których najmłodszy Kazimierz pozostał przy życiu, dwaj inni zmarli w roku 1888.

Jako dwunastoletni chłopiec zostaje oddany do gimnazjum we Wrocławiu. Już jako chłopię przejęty żądzą przestępstwa i poznawania nieznanych krajów, zwiadał w czasie wakacji Niemcy i znaczną część Europy Środkowej, co nie mogło w chłopcu, do

szerszych lotów zrodzonemu, nie rozwinać i spotęgować pragnienia coraz większych wrażeń, poznania coraz dalszych — a nieznanym przestrzeni. Z zamiłowaniem oddawał się geografii, studiowaniu niezbadanych obszarów, kreśleniu map i marszrut podczas lekcji, co zresztą nierzadko ściągało nań kary.

Opuściwszy szkołę, oświadczył ojcu swą decyzję wstąpienia do marynarki. Oczywiście, wołałby rodzic widzieć w pierworodnym następcę swego w zawodzie, stąd też decyzja synowska napotkała na opór ojca. Sprzeciw ten jednak przemogła stałość młodzieńca i



Znaleziono na: www.magemar.com.pl

Stefan Rogoziński

Stefan wyjechał do Petersburga. Tam wstąpił, jako ochotnik, do marynarki. Podczas lata wypływał z eskadrami, zimą pracował intensywnie u astronoma Zybina, któremu zawdzięcza, że po upływie połowy czasu, potrzebnego zwykle na przygotowanie się do egzaminu oficerskiego, zdał go w szkole marynarki wojennej w Kronsztadzie w ciągu półtora roku, przeszedłszy kurs trzechletni. Dzięki nadzwyczajnym zdolnościom i zapalowi ukończył szkołę, jako najmłodszy z absolwentów.

Przydzielony do eskadry, udaje się na wody chińskie, gdzie właśnie zanosilo się na burzę polityczną, jako miedzian odbył podróż naokoło świata na okręcie wojennym „General - Admiral“. Wędrowki po bezmiarach oceanów podnieciły eksploratorską

gorączkę Rogozińskiego, a podróże u brzegów Afryki natchnęły go nieprzemyślnym dążeniem do zbadania drzemających gdzieś za szczytami dziewiczych gór kameruńskich nieznanymi obszarami. Wydrzeć przyrodzie ich tajemnicę, oddać cywilizowanemu światu i Polsce nowy szmat nieznanego ładu wraz z ukrytymi w nim bezużytecznie bogactwami, nie cofnąć się przed żadną ofiarą, bodaj własnego życia — oto, z czym Rogoziński wstępował w życie.

Już w połowie 1881 r., pisząc z podróży z Aten do kraju, napomyka o zamiarze badania gór Kameruńskich i ich zaplecza, w czerwcu w Neapolu projekt swój konkretyzuje i omawia go ze znanym podróżnikiem Bianchi i prof. Licata, którzy postanawiają towarzyszyć mu w wyprawie.

Obok Bianchi'ego znaleźli się i inni ochotnicy, znaleźli się także protektorzy, którzy ofiarowali pieniądze. Ale w takich warunkach wyprawa, pomimo swego polskiego przywódcy, byłaby włoską; do Włochów bowiem, łożących na wyprawę, należałyby jej zdobycze, czego nie chciał Rogoziński, akcentujący swe polskie pochodzenie i zmierzający zdecydowanie do wybitcia piętna polskości na swej wyprawie. Zrezygnował więc Rogoziński z udziału Włochów (tem więcej, gdy się spostrzegł, iż w chęciach Bianchi'ego i innych tkwią tendencje handlarskie). „W walce o środki, — mówił Rogoziński na odczucie swym w Warszawie — chciałbym zdobyć je we własnym kraju, by i owoce wyprawy w nim pozostać kiedyś mogły; czy nam się to uda, czy kotwica, na której staniami przy kameruńskich brzegach z naszego będzie odlana żelaza i czy z nagłówkiem naszego kraju będzie mogła spocząć kiedyś pośród pamiątek przeszłości — nie wiem; lecz jest to gorącym mem pragnieniem. Dla Afryki i ludów afrykańskich zbierałem iskry zapalu w Europie, tu pragnę iskry, przez którą kiedyś zagle nasze tym stronom świeciły“.

Zwalnia się Rogoziński z marynarki rosyjskiej i wnet po katastrofie „General - Admiral“, na którym służył, wraca do kraju, by rozpocząć kampanję za swoją wyprawą, i po pewnym czasie, w listopadzie 1881 roku, ogłasza w „Wędrowcu“ następującą „Propozycję“:

„Zamierzając w kwietniu roku przyszłego wyruszyć do Kame-ruńskiej zatoki (Afr. Zach.) i, po- zostawiwszy w górach tego imie- nia stację geograficzną, puścić się na wschód kontynentu dla stwier- dzenia istnienia jezior Liba i ich hydrograficznego połączenia z za- chodnim oceanem, z radością po- witałbym pomiędzy zjednoczone- mi siłami mej wyprawy towarzy- sza podróży z ojczystej niwy, który zechciałby podzielić ze mną trudy i owoce. — Przeciąg czasu niezbędny dla ekspedycji oceniam na jeden rok mniej więcej, udział zaś materialny wynosić będzie 2000 rs (5000 fr.). — Uważając za zbyt duże wyjaśnienie, ile waż- nych odpowiedzi na liczne i dawne pytania mają dać nam tajemnicze ku samemu przedmiotowi. Jeżeli projekt przejdzie w czyn uwień- czony rezultatami, to w chórze opinii świata naukowego usłyszy- my powiększenie w nim liczby imion polskich zapewne i „Bóg zapłać” naszego społeczeństwa. Pozostawiając bliższe porozumie- nie się szerszej korespondencji, składam adres swój w redakcji „Wędrowca”.

Stefan Szolc - Rogoziński
of. mar. i czł. tow. geogr. w Paryżu
i klubu afryk. w Neapolu.

Około „afrykańskiej wyprawy Rogozińskiego” powstaje ruch; czyni go sam Rogoziński, tłuma- cząc, wykładając, perswadując, wygłaszając odczyty, czyni ruch prasa. Grzmi gromko przeciw wyprawie młody „Poseł Praw- dy” Aleksander Świętochowski, który „ze stu milionów rubli nie dałby 50-ciu kopiejek na wypra- wę”, kopje kruszą za wyprawą nie starsi od „Posła Prawdy” Litwos i Prus — Sienkiewicz i Głowacki.

Segregując publicystów na „wy- prawnych”, t. j. zwolenników wy- prawy i „niewyprawnych”, t. j. przeciwników, pisze Prus dowci- pnie... „Oni zaś, niewyprawni, mogą mieć za sobą wszystkie pisma niezaangażowane, całą in- teligencję obeznaną z dolegliwo- ściami własnego kraju, wszyst- kich tych, którym Sara Bern- hard^{*)} zbyt mocno wyszła mo- wała kieszenie, cały narodowy egoizm i wreszcie legjony takich, którzy dla tego nie dadzą na wyprawę afrykańską, ażeby za- oszczędzonego grosza... nie wy-

dać na żaden inny cel, nie przed- stawiający żadnych materialnych korzyści... Musimy wrzód po- myśleć o... butach? — Ale my te- go rodzaju poglądów podsycać nie możemy. Niechże choć z tytułu wyprawy do Afryki ludzie zrozu- mieją u nas, że warszawiaka mu- szą obchodzić nie tylko jego buty i bruki na Nowym Świecie, ale i trakt z Miechowa do Końsko- woli. I nie tylko ten trakt, ale nawet badania naukowe, od któ- rych nie możemy spodziewać się natychmiastowego procentu. Takie same uczucia, jakie ka- żą nam składać ofiary na oł- tarzu krajowych potrzeb, choć- by kiedy miał z nich skorzystać nasz osobisty nieprzyjaciel, takie same uczucia pobudzają nas do ofiarowywania nowych teryto- rjów ludzkości... Niech oni (Ro- goziński, Janikowski, Tomczak) wiedzą, że poza nimi stoi gdzieś naród, a nad nimi unosi się jego błogosławieństwo. Niech ono im towarzyszy w samotności, dodaje męstwa w bitwach, niech w da- lekiej pustyni rozmawia z nimi o kraju, a dla nas niech będzie świadectwem, żeśmy się ogólnie ludzkich ideałów nie zaparli i nie zaprzemy...”

„Alboż nie płacimy po piętna- cie rubli za bilet do krzeseł na po- wiewną Sarę — pisał Sienkie- wicz — alboż nie będziem dawać balów i rautów w karnawale, albo nasze panie przestały spuszczać oczy i wzdychać na wspomnienie Hersego, alboż wyrzekliśmy się bezika, bakarata, śruby opery włoskiej. Alboż nie będziem mieli wyścigów konnych?... Starcy bez wyobraźni, sądzący trzeźwo i praktycznie, niezdolni jednak iść naprzód, zaślepieni i skostniałi... Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywot- ność tym niepokojem i zapalem ducha, który, nie szukając nawet bezpośredniego pożytku, chce... sięgnąć tam, gdzie myśl nie sięga, który dla sprawy wiedzy nie szczędzi ofiar ani krwi, ani złota. Im w trudniejszych warunkach znajduje się jakie społeczeństwo, tem lepsze daje świadectwo swym siłom wewnętrznym, swej zdol- ności do życia, jeśli ogólnoludzkie sprawy postępu obchodzą je jak najsilniej, jeśli zawsze gotowo jest wziąć w nich udział i z a z n a c z y ć s w o j ą o b e c n o ś ć”.

Jak widać więc, najznakomitsi pisarze, wówczas już luminarze literatury, chwycili za pióra z racji wyprawy kameruńskiej. I d o -

b r z e się stało, że Rogoziń- skiemu, który lwiał część wydat- ków pokrywał z własnej szkatuły i nieco uzyskał od współuczestni- ków wyprawy — że Rogozińskie- mu zabrakło chwilowo marnych kilku tysięcy rubli. Gdyby nie ten fakt, nie mielibyśmy dziś, po pięć- dziesięciu latach, tak znakomitego sposobu studjowania ustosunko- wania się ówczesnego społeczeń- stwa do rzeczy nieprzeciętnych, do przedsięwzięć idealnych, nie obliczonych na natychmiastowe przyniesienie korzyści.

Pierwszy z sukursem material- nym pośpieszył, któżby nie, jak Władysław Branicki. Dla niego to nie pierwszyna — wszak w tym czasie i od lat blisko dwudziestu już po całym świecie, od Peruwji do Kamczatki chodzili uczeni nasi, na koszt Branickich badając nie- znane obszary i gromadząc boga- te zbiory dla dzisiejszego Pań- stwowego Muzeum Zoologicznego. Pośpieszył i Benedykt Tysz- kiewicz a i panie warszawskie, które nawiasem mówiąc, ujęła męska postać przystojnego Stefa- na, nie poskapily pomocy. Nie poskapili zachęty uczeni cudzo- ziemscy, a niejeden nawet, jak sę- dziwy podróżnik i badacz Reclus z Genewy, drobnym chociażby stufrankowym datkiem (sukursy finansowe cudzoziemców nie za- ważyły na szali przy 99 procen- tach kapitału polskiego) pośpie- szyli zadokumentować swe sym- patje dla przedsięwzięcia i zu- cha — inicjatora. Wśród sympa- tyków polskiej wyprawy widzie- liśmy i Nachtigalla, Niemca, i sławnego Nordenskjölda, i kró- la belgijskiego, który darowa- niem statku zamierzał wesprzeć ekspedycję — i wielu innych.

Półtora roku jednak upłynęło od chwili powzięcia zamiaru do wyruszenia ekspedycji z Hawru, półtora roku przygotowań, zawo- dów, niepowodzeń materialnych i moralnych, waśni a nawet potwa- rzy i intryg, w których zamieszane były różne osobistości, jak wspomniani Włosi, jak Szwed Een i inni. Wreszcie jednak że- lazna energia Rogozińskiego prze- mogła wszelkie trudności i 13-go grudnia 1882 r. wypłynęła nabyta przez niego „Lucja-Małgorzata *) na pełne morze, wioząc prócz Ro- gozińskiego i załogi francuskiej czterech jeszcze uczestników Po- laków: Leopolda Janikowskiego, Klemensa Tomczaka, Hirschfel- da i Ostaszewskiego-Barańskiego,

*) Sara Bernhard występowała wów- czas właśnie w Warszawie.

z których dotrzymali placu i do końca wytrwali dwaj pierwsi.

Trzy lata przeżył Rogoziński w dziewiczych puszcach kameruńskich, trzy lata niebezpieczeństw, znojów, niewygód, moralnych i fizycznych cierpień, dzielnie i wytrwale sekundowany przez Janikowskiego i Tomczaka, który niestety już w 1883 r. zmarł na posternku, na wyspie Mondoleh. Człowiek ognistego temperamentu, obdarzony niepospolitą inteligencją i wyjątkowo silną organizacją fizyczną, zdziałał*) jak na warunki, w których ekspedycja doszła do skutku i działała, istotnie niemało dla nauki i dla chwały imienia polskiego. Po trzech latach wrócił Rogoziński do Warszawy wraz z Janikowskim, aby rodakom publicznie

zdać sprawę z działalności swej i ponownie wyruszyć na brzegi afrykańskie, zabierając ze sobą jako małżonkę znaną pisarkę Boguską, występującą w literaturze pod pseudonimem Hajoty. Osiadł na wyspie Fernando-Poo, ale już jako plantator, gdy brutalna zachłanność Niemców, wsparta słabością zawiąklanej w Egipcie Anglii, wydała mu zdobycze polityczne jego przedsięwzięcia kameruńskiego. Jeszcze raz w kilka lat później zapragnął zainteresować Anglików sprawą kameruńską i zakrzętał się koło tej sprawy w Egipcie. Doznał jednak niepowodzenia i w młodym wieku, przedwcześnie, zmarł w Paryżu w 1896 r. licząc lat 36.

Naukowe zdobycze wyprawy Rogozińskiego były niepoślednie:

odkrył źródła rzeki Mungo, jezioro M'bu, które na cześć hr. Tyszkiewicza nazwał jeziorem Benedykta, wykreślił nową mapę krajów Bakundu, wydaną potem przez Akademię Umiejętności w Krakowie, napisał rozprawę o narzeczach plemienia Bakwiri i sąsiednich plemion, również wydaną przez Akademię i zebrał bogate zbiory etnograficzne, które ofiarował Muzeum Baranieckiego w Krakowie.

Politycznej stronie wyprawy Rogozińskiego, przez pewien czas władcy kilku plemion kameruńskich, należy się oddzielne opracowanie.

ST. ZIELIŃSKI.

*) O szczegółach ekspedycji w jednym z następnych numerów „Morza”.

POLSKIE WYCHODŹTWO W KANADZIE

W krótkim szkicu skreślić pragnę garść szczegółów, dotyczących naszego wychodźstwa w Kanadzie. Zaznaczam, że ilość, podawana przez dotychczasowe nasze statystyki — stuśięcznej liczby wychodźców — Polaków nie jest prawdziwa. Właściwie trudno tutaj oprzeć się na prawdziwych źródłach; urzędowe kanadyjskie liczby są zawodne. Przy prowadzeniu spisów, jednostki nie orjentują się zbyt w ważności skrupulatnego podania swoich danych i przypilnowania dokładnego ich zapisania, zresztą istnieje stałe zjawisko przekręcania imion i nazwisk polskich przez władze miejscowe. Jeśli się do tego doda, że najczęściej emigrant lekceważy rodzinne nazwisko i podaje przy określaniu narodowości prowincję, w której się urodził, co przez urzędników, nieorientujących się w geografii Europy, zapisane bywa, jako przynależność państwowa, z czego wychodzą potworne nieraz niedorzeczności — otrzymamy przyczyny braku źródeł pewnej statystyki.

Obecny ruch emigracyjny, deportacje, istne wędrówki rzesz wychodźczych z jednego końca Kanady na drugi, zmieniły niepomniernie zarówno liczbę, jak i stan skupienia polskiego wychodźstwa w Dominium Kanadyjskim.

Kolonje polskie koncentrują się na wschodzie w Montrealu i Wielkim Pojezierzu prowincji Ontario, w sąsiedztwie największych skupisk polskich w Stanach Zjednoczonych (Buffalo, Detroit, Chicago). W środkowych prowincjach stepowych — Manitoba, Saskatchewan i Alberta — poza Winnipegim, gromadzącym około paru tysięcy Polaków — koloniści nasi rozsiani są na bezmiernych obszarach tych preryj. Na zachodzie są już małe grupki Polaków, — ostatnią placówką jest kolonja nasza w Vancouverze nad Pacyfikiem.

Co do jakości, t. j. istotnego poczucia polskości w tej masie, nie mogę inaczej się wyrazić, jak tylko, że pozostaje ona w stadium bardzo mglistem i trudnoby było tę masę uważać teraz za żywioł bezwzględnie świadomie polski. Polskość jego polega raczej na pewnego rodzaju bezwładności psychicznej, jak na swia-

domości wewnętrznej, opartej o pewne głębokie zasady. Wnikając w tę sprawę, daje się spostrzegać w całym tutejszym wychodźstwie polskim (im dalej na zachód, tem więcej jest ono widoczne) podział na dwie warstwy — starą emigrację, osiadłą w Kanadzie przed wielką wojną i późniejszą, przybyłą podczas wielkiej wojny, a przedewszystkiem po niej. Stare wychodźstwo, dorobiwszy się grosza i zagospodarowawszy się niezgorzej, niekiedy utrzymuje jeszcze w sobie pewne tradycje polskości i one są źródłem zakładania wszelkich stowarzyszeń i zrzeszeń polskich. A jednak wśród tego starszego wychodźstwa rzadkie są wypadki, ażeby dzieci, które przedewszystkiem tutaj wychowuje ulica — mówiły po polsku między sobą, natomiast często zauważylem, zwłaszcza wśród bardziej zamożnych

rodzin, że dzieci (o ile tego nie zrobili już rodzice), zmieniają nazwiska polskie na obce angielskie, dla zatarcia nawet pochodzenia, którego się wstydzą, tak pod względem narodowościowym (sic!), jak i społecznym (ojciec bowiem najczęściej jest robonikiem). Nowsze wychodźstwo rekrutuje się nierzadko z osobników, którzy przeszli wojnę wielką i polsko-bolszewicką, a których wojny te nie zahartowały, lecz przeważnie zdeprawowały, lub z jednostek, którym stosunki rodzinne, ekonomiczne i t. p. źle się układały, z ludźmi, szukających po szerokim świecie łatwego życia, lub wreszcie z jednostek, które były jeszcze wychowane w trującej atmosferze trójjaboru, a w początkowych latach dźwigania się Polski nie zaznały zbyt wielkiej pomyślności materialnej, według której jedynie bywała



Z pobytu prezesa Zarz. Gł. L. M. i K. gen. G. Orlicz-Dreszera w Kanadzie. Stoją od lewej p. p.: kpt. inż. L. Wiktor — prezes Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich w Kanadzie, dr. M. Nałęcz-Dobrowolski — delegat Min. W. R. i O. P., gen. G. Orlicz-Dreszer, J. Pijanowski — sekretarz konsularny i dr. J. Adamkiewicz — konsul generalny R. P. w Montrealu.



Kpt. inż. Ludwik Wiktor.

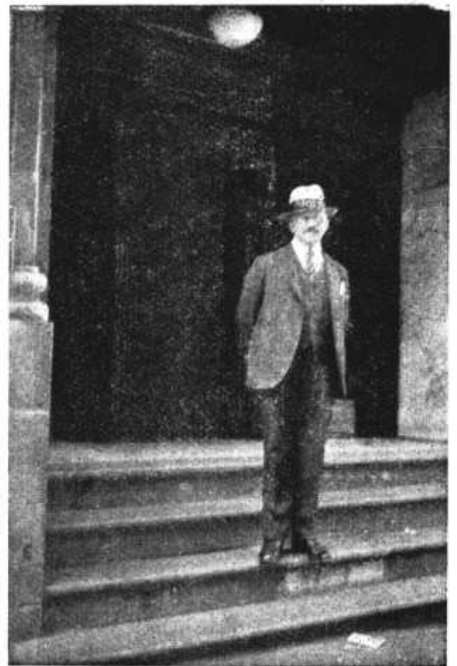
przez nich szacowana, ojczyzna. To też takie jednostki, rzucone w wir zupełnie odrębnych stosunków życiowych, gdzie węzły moralne, bądź co bądź w kraju oddziaływające silniej — tutaj są luźne — w krótkim czasie tracą orjentację, zwłaszcza, że w pierwszych latach stosunki materialne dla owych jednostek stają się oszalałym haszyszem (tanieść i wysokość zarobków). Wychodźca polski, człowiek, często czytać i pisać nieumiejący, robotnik niewykwalifikowany otrzymał od razu wszelkie środki cywilizacyjne ułatwiające życie, jak: dom, meble luksusowe, samochody, radja i t. p., nie mówiąc o jedzeniu — w zamian za co zmuszony był jedynie pracować (w warunkach zazwyczaj znacznie cięższych, aniżeli w kraju) i spłacać coraz więcej gromadzące się raty. Masa tego rodzaju ludzi, nieufających zbyt „inteligencji starokrajskiej”, nie wytworzyła ze siebie własnej inteligencji. W tej masie tylko te jednostki osiągnęły względny dobrobyt materialny, które wczas osiadły na roli, lub zakupiły nieruchomości. W każdym razie znaczna część owej masy tworzy dziś proletarijat robotniczo-miejski, po-

większony jednostkami, stale uciekającymi z roli z powodu niesłychanego i pogłębiającego się wciąż kryzysu ekonomicznego Ameryki. Jeżeli zważymy, że tak w tych okolicach zachodu Kanady, gdzie są osiedla (farmy polskie), jak również w miastach, Polacy są pomieszani z Rusinami do tego stopnia, że dzieci są nierzadko zupełnie zruszczone, jeżeli zważymy, że agitacja bolszewicka coraz silniej się wciska i ogarnia te środowiska polskie (im dalej na zachód tem jaskrawiej to zjawisko występuje) — będziemy mieli obraz bardzo smutny stosunków, jakie panują w wychodźstwie polskim Kanady, zwłaszcza środkowej, to jest prowincyj: Manitoby, Saskatchewanu i Alberta.

Stosunki owe uwypuklają się z całą ponurą rzeczywistością, przedewszystkiem w Winnipegu.

Kryzys ekonomiczny, pozbawiając coraz więcej jednostek pracy zarobkowej w Kanadzie, w pierwszym rzędzie skrupia się na robotniku polskim, zajętym w pracy fabrycznej i rolnej, wyrzucając go poza nawias wszelkiego życia. Jako taki wyrzutek jest on nienawistnie tolerowany przez miejscowe władze i ludność. Stan ten pogarsza się z dnia na dzień. W ostatnich czasach władze urzędowały formalne nagonki na wychodźców, którzy przecież przyjechali tutaj na roboty, zakontraktowani przez linje kolejowe C. P. R. lub też, jako wychodźcy, złożyli żądaną kwotę pieniędzy i dziś po załamaniu się finansowem Kanady, uważani za uciążliwych cudzoziemców stracisz możliwość zarobkowania (każdy kto korzysta z ofiarności publicznej jest uważany za takiego), są bezceremonialnie deportowani do kraju macierzystego. Stąd wypadki ucieczek z miast w lasy i bezludzia, dla uniknięcia przykrych następstw, jazda oczywiście na gapę, jak tu się mówi „betowanie trenu” (to bet — znaczy okłamywać, the train — znaczy pociąg) nierzadko pod buforami, lub na dachu wagonów tysiące kilometrów — byle uniknąć zetknięcia się z bezlitosną władzą.

Życie polskie skupia się w trzydziestu parafjach, oraz w około 50 związkach świeckich. Najważniejsze katolickie parafje polskie są w następujących miejscowościach: Montreal (2 parafje), Toronto (2 parafje), Kitchener, Wilno, St. Catharines, Welland, Windsor, Hamilton, Fort William, Winnipeg (2 parafje), Sydney. Najwybitniejszymi organizacjami świeckimi są: Orzeł Biały, Związek Katolicki,



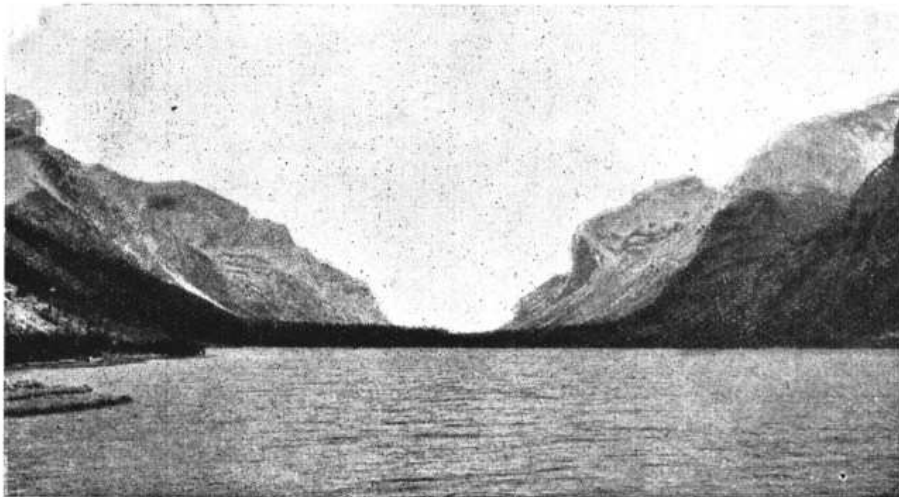
P. C. P. Kamiński delegat Zjednoczenia Zrzeszeń Polskich w Vancouverze (Kanada).

Związek Weteranów w Montrealu, Związek Polaków w Kanadzie, Klub Polski w Toronto, Tow. św. Jana Kantego i Sokół w Winnipegu, Związek Polski w Windsor, Tow. Zgoda w Vancouverze.

Towarzystwa parafjalne przewyższają, co do ilości członków, świeckie. Z parafjami związane jest właściwie szkolnictwo polski. Poza Quebeciem, gdzie istnieje cień półurzędowego szkolnictwa polskiego w dwóch wstępnych stopniach nauczania (rodzaj naszej szkoły powszechnej) wszędzie jest tylko szkolnictwo prywatne, tolerowane przez władze odnośnych prowincyj.

Ponieważ pozwolenie na otwarcie szkół mniejszościowych (separate Schools) wyłącznie zależy od rządu, a w tym rządzie (każdej prowincji) panuje coraz ostrzejszy kierunek dławienia i kanadyzowania wszelkich mniejszości, przeto zawsze zachodzą ustawowe trudności, uniemożliwiające otwarcie podobnej szkoły. Z prywatnych rozmów i literatury dowiedziałem się o celowym zwalczaniu przez rząd kanadyjski problemu mniejszościowego w szkołach, to jest zanglizowania szkoły publicznej, co doprowadziło do tego stanu, iż młodzież obcojęzyczna w Kanadzie już wylądnie używa języka angielskiego, nawet w rozmowach między sobą poza szkołą. Zresztą i z tej słabej broni, jaką możnaby było mieć w każdym razie z instytucji „Trustysów” t. j. mężów zaufania Polacy dotychczas zupełnie nie skorzystali.

W listopadzie ubiegłego roku odbył się pierwszy zjazd przedstawicieli Zrzeszeń Polskich w Kanadzie w liczbie 57. Niektóre wrogie czynniki starały się nie dopuścić do zjazdu, a gdy ten przyszedł do skutku — starały się go zerwać. Mimo tych przeszkód i wielu innych, jak trudności przyjazdu delegatów z powodu ogromnych przestrzeni — Zjazd odbył się z wielką powagą. Ukonstytuowane zostało „Zjednoczenie Zrzeszeń Polskich w Kanadzie”, a jako jego stały organ powstała „Naczelna Delegacja” z kapitanem Ludwikiem Wiktorem na czele w Montrealu. Uchwalone zostały rezolucje,



Jezioro Minnewanka w Kanadzie.

które po raz pierwszy podniosły głos sprzeciwu zorganizowanej Polonii przeciw traktowaniu pracowniczego i lojalnego żywiołu naszego wychodźstwa, jako nawozu ludzkiego.

Zjazd wykazał dojrzałość polityczną masy naszej emigracji w Kanadzie i zapoczątkował nową erę życia społecznego wychodźstwa.

Dużą rolę pomocniczą pedagogiczną mogłaby oddać prasa polska miejscowa. Niestety, jakkolwiek istnieją trzy tygodniki: „Słowo Polskie” (Montreal), „Czas” i „Gazeta Katolicka” w Winnipegu, nie budzą one w dostatecznym stopniu zgody i nie pogłębiają istotnych wartości duszy polskiej na wychodźstwie.

Objawem wysoce dodatnim wśród naszego wychodźstwa w Kanadzie jest naogół duża solidność społeczna, uwiadoczniająca się przede wszystkim w dążeniu do oparcia bytu materialnego na trwałych podstawach, już to przez osiadanie na roli, już to przez kupno nieruchomości miejskich i imanie się zarobkowania w przemyśle i handlu. Dorobek naszego wychodźstwa w Kanadzie obliczają na sto milionów dolarów, gdybyśmy nawet, co do tej liczby mogli mieć pewne zastrzeżenia, to w każdym razie jest ona bardzo znaczna — tem więcej, jeśli się zważy w jak niesłychanie trudnych warunkach, bez jakiegokolwiek pomocy, nasz rolnik i robotnik doszedł do tej olbrzymiej liczby majątku narodowego. Gdyby miał on z początku przewodników z rodzimej inteligencji i wśród kleru polskiego, któryby mógł i umiał pokierować wysiłkami pracy polskiego wychodźstwa — nasze stanowisko społeczne i polityczne w Kanadzie inaczejby się przedstawiało. Byłoby to, co jest u Rusinów, którzy zdolali w początkach emigracji u kompetentnych władz kościelnych uzyskać zezwolenie na utworzenie odrębnej diecezji ruskiej, podległej biskupowi ruskiemu z siedzibą w Winnipegu. Wytworzyła się w następstwie silna organizacja narodowa rusińska oparta o cerkiew, posiadająca sprężystą władzę i wytyczny plan działania, popartego przez inteli-



Zbocza bazaltowe w kanjonie Camelo koło Vancouveru (Kanada).

gencję rusińską, emigrującą w dużej ilości z zaboru autrjackiego. Niestety cerkiew owa zamiast siać ewangeliczną miłość stała się siedliskiem przeszczepionych walk narodowościowych z byłej Galicji na teren kanadyjski — stała się siedliskiem najzjadliwszego nacjonalizmu, agitacji przeciwpolskiej przechodzącej, daleko poza granice Kanady.

To też niesłychanie ważna jest pomoc i należyte podtrzymanie żywiołu polskiego, narażonego na coraz groźniejsze ataki. W tym kierunku społeczeństwo nasze i odpowiednie czynniki zrobiły duży wysiłek i należy przyznać, że wyniki tej pracy dają się spostrzec — dużo jednak jeszcze pozostaje do zrobienia

Należałoby również odpowiednio trafić do tutejszych władz szkolnych, ażeby w podręcznikach angielskich i francuskich były obszerniejsze i dokładniejsze wiadomości o narodzie, którego liczni członkowie są pionierami stepu kanadyjskiego, w niesłychanie trudnych warunkach zamieniając go na uprawne pola, a nie gośćmi, jedynie z łaski tolerowanym żywiołem, w co właśnie powszechnie wierzą Anglicy i Francuzi. W geografii, używanej w szkołach (high school), Polska jest omawiana w dziesięciu wierszach dodatkowego ustępu o państwach bałkańskich (!) Również przeniknięcia wiadomości o Polsce do encyklopedji, podręczników, miesięczników, tygodników, wogóle tutaj „Magazynów” — jest rzeczą pierwszorzędną wagi, gdyż naogół czytelnictwo jest znacznie rozwinięte. W tym kierunku powinna być wytworzona jakaś systematyczna linia, a nie dorywczo wysoki, wwołane zazwyczaj horedalnym artykułem przygodnego podróżnika lub korespondenta z Polski.

Wielką rolę w pracy propagandowej o Polsce odegrałyby wystawy objazdowe specjalnie z dziedziny kultury i sztuki polskiej, o której tutaj nikt najmniejszego wyobrażenia nie posiada, rozsyłanie plakatów artystycznych (Ministerstwo Komunikacji, Min. Przemysłu i Handlu), które mogą być dumą naszej sztuki graficznej i są bardzo tutaj podziwiane i cennione z punktu widzenia fachowego. Dowodem zainteresowania się dziełami sztuki polskiej była próba okrężnej wystawy grafików polskich, zdaje się zupełnie udana.

Należy żywić nadzieję, że z czasem wychodźstwo nasze, może w uszczuplonej liczbie, lecz za to posiadające pogłębienie poczucia godności wielkiego narodu i państwa, uzyska należne stanowisko wśród miejscowego społeczeństwa, co niewątpliwie wpłynie dodatnio na ukształtowanie się specjalnych stosunków w Kanadzie.

DR. M. NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



ZDOBYCZE i TROSKI POLONJI ZAMORSKIEJ.

Paromilionowy odłam Polonii zagranicznej na wychodźstwie, w Stanach Zjednoczonych A. P., nazwano kiedyś, w trójdzielnicowym okresie naszego życia, „czwartą dzielnicą” polską. Trafne to określenie — wskazujące, jak dalece Polacy emigranci w Ameryce zachowali świadomość narodową swoich przodków — z biegiem lat i z odrodzeniem Polski, nabiera na treści, innego zabarwienia, ale nie odbiega od prawdy.

Pod tym kątem widzenia, omawiając bieżące sprawy życia rodaków naszych za oceanem, przede wszystkim w kraju największego ich skupienia, w Stanach Zjednoczonych A. P., nie możemy pominąć wszystkich pozostałych, tak licznych ośrodków życia polskiego w innych krajach zamorskich, życia w którym pamięć o Polsce i przywiązanie do kraju macierzystego utrwalane jest przez tyle wysiłków poświęceń i ofiar dla zachowania i rozwoju kultury polskiej. Równocześnie jednak pamiętać winniśmy, że realne warunki pracy, walki o byt, zdobycia majątku i obrony ogniska polskiego w tych krajach są, inne zupełnie, niż w Europie i dlatego starać się musimy o najogólniejsze bodaj orjentowanie się w sytu-

acji gospodarczej i w prądach społeczno politycznych, jakie między innymi kształtują los i powodzenie, dołę i niedołę Polaka za oceanem w każdym z tych krajów inaczej.

W Stanach Zjednoczonych od połowy roku, ściślej od sierpnia, dało się zauważyć, poważna fala podsunęła w interesach i na rynku pracy. Ruszył się przemysł tkacki w Nowej Anglii i w Massachusetts. Poszły w górę ceny bawełny i bydła, co oznacza poprawę dochodów farmerów i zwiększenie zamówień na narzędzia farmarskie. Na połowę września zapowiadany jest powrót do normalnej pracy w stalowniach. W połowie października w stanie Illinois otwarte będą, według zapowiedzi magnatów węglowych, wszystkie kopalnie, na podstawie umowy przyjętej przez górników i zapewniającej 5 dolarów dziennie zwyktemu robotnikowi kopalnianemu. W prasie polsko-amerykańskiej czytamy (12/VII): „Z rozmaitych stron kraju każdy dzień przynosi radosną nowinę, że ta czy tamta fabryka, która była dotąd nieczynna, została uruchomiona... P r z e r w a n a została wreszcie przygniatająca s t a g n a c j a i z powrotem rozpoczął się znoyny okres

pracy... Powszechnie utrzymuje się opinia, że są już p r z e ł a m a n e l o d y depresji”.

Na giełdzie nowojorskiej zapanował ruch, jakiego nie widziano od 1930 r. W ciągu jednego dnia, w pierwszej połowie sierpnia, odbyło się pięć milionów akcji i nabywcy zarobili na niektórych akcjach w tym samym zaraz dniu od dwóch do ośmiu dolarów na sztuce.

Ta fala poprawy wolnej i stopniowej, poczęła przybywać ze wschodu i dosięgła już Chicago.

Ten stan rzeczy wpłynął już i na o ż y w i e n i e społeczne wśród Polonii amerykańskiej. Od r. 1924 odbywały się stale w Chicago „Dnie Polskie”, zaniechane z chwilą radykalnego załamania dobrobytu, „prosperity”. Po jednorocznej przerwie wznowiony w tym roku, w parku Riverview, „Dzień Polski” odbił się silniejszym echem i zapewnił około trzech tysięcy dolarów dochodu na cele dobroczynne i oświatowe. Jak podkreśla „Dziennik Związkowy” powodzeniu „Dnia” sprzyjała okoliczność, że podłoże miało nie polityczne, ale wyłącznie oświatowe i dobroczynne.

Zorganizowana przez przedstawicieli

wszystkich większych i mniejszych zrzeszeń w Chicago, przyniosła ta impreza jeszcze jeden z wielu dowodów ogólnego, panującego powszechnie prądu, dążącego do centralizacji i ześrodkowania sił polskich, czego wyrazem, między innymi, stała się stworzona ostatnio Polska Rada Narodowa w Chicago, usiłująca, narazie bez większego powodzenia, ściągnąć do siebie wpływowych liderów Polonii tamtejszej aczkolwiek, jak podaje organ „Związku Narodowego Polskiego” (4/VII): „Rada zdołała w pierwszych wstępnych swych krokach skupić sporo młodszych i energicznych członków naszej Polonii”.

„Nasza inteligencja tu urodzona nie interesuje się wychodźstwem!” — często a niesłusznie, jako wyraz zbyt pesymistycznego poglądu, padają słowa z ust starszego pokolenia, przybyłego w młodości ze Starego Kraju do Nowego Świata. Oto jakie np. ostatnio ogłasza prasa polska za morzem świadectwo wręcz innego zachowania się młodej Polonii amerykańskiej. Młody adwokat A. Zaleski z Omaha, w stanie Nebraska, w odpowiedzi na „szkodliwe i bezpodstawne”, jak je nazywa, artykuły o Gdańsku i t. zw. polskim korytarzu w miejscowej prasie, dzielnie polonizuje w tejże prasie ze złośliwymi proniemieckimi artykułami rozpowszechnia sławę Kaz. Pułaskiego w miejscowej gazecie, staje się współpracownikiem miesięcznika „Poland” wygłasza mowy w radio, powoduje uchwały propolskie w legislaturze stanowej.

Pisze o sobie: „Mój ojciec już się tu urodził, w Chicago. Jako chłopczyk i młodzian znajdowałem się w angielskim otoczeniu i w angielskich szkołach. Do polskiej szkoły uczęszczałem dwa lata. Wojna

światowa zwróciła mi uwagę na moje pochodzenie w niemieckim zakładzie naukowym i od tego czasu stałem się z agorzałym Polakiem i bronię Polski, szczególnie Północną, tej prastarej dzielnicy polskiej, ponieważ była i jest ona polska, a w dodatku, jako przekonywujący dowód dla mnie, mój dziadek, który był Kaszubą, pochodził stamtąd”.

Nie wyczerpuje się i nie kończy młodzież polska w Ameryce na wychowankach jednego tylko Kolegium Polskiego w Cambridge Spring w stanie Pennsylvania, które właśnie obchodziło w tym roku dwudziestą rocznicę istnienia. Niespożyty ten pomocnik żywej polskości za oceanem, pozostanie światłą kuznicą charakterów, pierwszą, pod każdym względem, życzymy tego jaknajszerszej, szkołą polską w ojczyźnie Washingtona. Ale przyszłość w tym kraju wychodźstwa Polski, będzie ugruntowania na pracy wszystkich jego najdzielniejszych reprezentantów, wnuków, i prawników dumnych ze swego polskiego pochodzenia.

W tym roku w Kolegium polskim zorganizowany był kurs pedagogiczny, pod kierownictwem profesorów z Polski, S. Gałazki i H. Konopnickiego, który zgromadził około 40 słuchaczy, kładąc podwaliny dla gruntownego przeszkolenia nauczycieli w szkołach polskich kształcących.

Praca organizacyjna nad stworzeniem trwałych, mocnych fundamentów mostu kulturalnej więzi i łączności pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi, za pośrednictwem wychodźstwa naszego, znajduje wyraz i w rozwoju Fundacji Kościuszkowskiej, na rzecz

której zebrano już dotąd wyłącznie wśród Polaków 150,000 dolarów, co stwarza 3/7 kontyngentu na całe wychodźstwo w Stanach Zjednoczonych. Napływ ofiar z miesiąca na miesiąc nie ustaje i w tych nad wyraz ciężkich, lichych czasach, kiedy dobrobyt amerykański bankrutuje Umożliwia to udzielanie dotychczasowych stypendjów, nad czym pracuje inicjator i spiritus movens tej akcji prof. St. Mierzwa, dyrektor Fundacji.

Sięgając poza Stany Zjednoczone, widzimy, że w Kanadzie pomimo wznawiania tam szyskań, niestety i ze strony władz, Polacy trzymają się dzielnie i aczkolwiek stopniowo buduje sobie Polonja kanadyjską wpływy i znaczenie. W Deer Lodge odbyła się uroczystość wręczenia polskiego sztandaru Polskiemu Oddziałowi kanadyjskiego Legionu przez Konsula R. P. p. Zwolskiego. W uroczystości wzięli udział reprezentanci władz cywilnych, wojskowych i miejskich, weterani Polacy, prezesi kilku stowarzyszeń kanadyjskich, liczny zastęp publiczności. Bardzo życzliwą dla Polski mowę wygłosił generał Kitchen, komendant garnizonu w Winnipegu, okazując zainteresowanie dla szybkiego rozwoju nowoczesnej Polski. W służbie swej gen. Kitchen miał sposobność obserwować żołnierzy polskich w armii kanadyjskiej i przyznać musi, że cechowała ich zawsze waleczność i brawura.

Wręczony sztandar o barwach polskich zdobił emblemat Legionu Kanadyjskiego, jako świadectwo braterstwa broni i wspólnych bojów żołnierzy polskich w szeregach armii kanadyjskiej w ostatniej wojnie.

KAZ. ZIELENIEWSKI.

PIONIERSKIE DOLE I NIEDOLE NA FARMIE AFRYKAŃSKIEJ

(ciąg dalszy)

KOŃ OMARA.

Z pomiędzy wszystkich moich piętnastu koni i kuców, które pozostawiłam na naszej farmie rok temu, mój stary skarogniady somalijski koń „Koljah” jest tym, którego chciałabym już raz jak najprędzej uwręczyć. Wiąże się z nim bardzo wiele miłych wspomnień, przysięgam, że on pewną dzielnością, która mnie dotychczas nigdy nie zawiodła, pomimo całej niepokornej postawy tego konika.

Nabyłam go za pośrednictwem Omara Adama, który jak wszyscy Somalijszczycy jest urodzonym handlarzem. Wobec tego, że na naszej farmie handlem byłem i owcami nie może zajmować się, daję upust swemu temperamentowi handlarskiemu, poświęcając swoje wolne chwile „facjendowaniu” końmi.

Za jego również pośrednictwem dostaliśmy większość naszych kucy somalijskich; może być wobec tego, że Omar o swoje własne konie dba nieszczególnie po dostaniu się ich w inne ręce, mogą one co najwyżej poprawić się. Tu w naszej okolicy, lekceważenie sobie tych małych, ale wytrzymałych koników, jest poniekąd nawet modne. W kraju jednak, gdzie konie są drogie i łatwo ulegają chorobom, posiadanie jakiegokolwiek bądź wierzchowca, choćby trochę wygodniejszego do jazdy, jak przeciętny muł, i to za połowę ceny konia rasowego, jest stanowczo rzeczą nie do pogardzenia. Lepsze kuce somalijskie prezentują się bardzo dobrze, należą

jednak do rzadkości, natomiast klacze dają często bardzo dobre pół-rasowe zrebęta.

Omar dwa czy trzy razy pożyczał mi Koljah do jazdy w wypadkach, kiedy trzeba było przez cały dzień objechać obory owcze, a inne konie na farmie z różnych powodów nie mogły być użyte. Po drodze opowiadał mi, w jaki sposób go „nabył”.

— Wracając trzy miesiące temu z urlopu — zaczął Omar — spotkałem się po drodze z pewnym moim znajomym, somalijskim rodakiem. Pani wie, że wśród moich rodaków cieszę się ogólną sympatią i wszędzie gdzie się znajdę, łatwo pozyskuję przyjaciół. Mój znajomy prowadził ze sobą właśnie tego gniadego konika, jako prezent dla swego krewnego w Elmenteita. Opowiedział mi, że to dobry koń, tak nawet dobry, że nigdy nie był wystawiany na sprzedaż na publicznych targach. Wobec tego jednak, że w tamtej północnej części kraju często zdarzały się napady Abisynczyków i w którejś z następnych zamieszek granicznych konik ten łatwo mógłby stać się zdobyczą napastników lepiej będzie ofiarować go obecnie, jako prezent.

Tam na północy urządzają także wyścigi, ale zupełnie odmiennego rodzaju, aniżeli tu u nas; często metę wyścigu stanowi żywa żyrafa, którą trzeba dogonić i przebić krótkim mieczem. Wówczas jeździec, który najbliżej jej dojedzie i przebieje ją, wygrywa i jako ozna-

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



kę zwycięstwa wycina z żyrafy pas skóry z grzywą i zakłada zwycięskiemu koniowi na szyję. Koljah, gdy wyruszył z domu, miał na sobie ośm takich grzyw.

Wróciłam w tem miejscu jakąś zachęcającą uwagę, gdyż Omar znakomicie opowiada, a jak raz zacznie się rozwodzić nad różnemi wyzyczeniami swego kraju, to można go słuchać bez końca. Ciągnął dalej:

— Czasem urządzają oni także wyścigi wyścigi i wtedy koń, który przyjdzie drugi do mety, staje się własnością wygrywającego.

Koncepcję tego rodzaju uważałam za doskonałą, gdyż wiodącą do ostatecznego celu. Omar, przyznawszy mi rację, opowiadał dalej:

— Koljah był doskonale wytrenowany. Gdy był jeszcze młody, a uparł się, to nieraz nawet i przez pół godziny trudno było wsiąść na niego, tak „kakał”. Pani może nie wie, że w moim kraju jest zupełnie przyjęte ruszanie z miejsca pełnym skokiem, a tego uczymy nasze konie, uderzając je kijem po głowie w chwili wsiadania. O tak, Koljah był doskonale trenowany!

Popatrzyłam tylko na niosącego mnie konika, nie robiąc żadnych uwag. W owym czasie wzbudzał on wprost liłość swoją chudością i marnym wyglądem. Jakkolwiek stapał lekko i zgrabnie, raczej, jak koń rasowy, aniżeli somalijski kuc, nie w nim nie można było zauważyć, co by mogło zdradzać tem-

perament i werwę, jakie ujawniły się u niego później, wraz z lepszym traktowaniem.

— Dlatego też ja go pani pożyczam — ciągnął Omar dalej swoje opowiadanie. — Jeszcze trochę, to mi trudno będzie dać sobie z nim radę. Ja lubię spokojnego konia. To, co ja nazywam naprawdę dobrym koniem, to taki, który zatrzymuje się, jak z niego spadną i czeka, póki nań znowu nie wsiądę.

— Widziałem więc ze wszystkiego, że konik musi być doskonały. Toteż przez dwa dni ani na chwilę nie zostawiałem mego somalijskiego znajomka, dopóki w końcu nie namówiłem go

do sprzedania mi konia. Dostałem go za jedenaście funtów. Pani może go mieć za piętnaście.

— Zdaje mi się, żeś w tym wypadku źle postąpił Omarze — nie mogłam powstrzymać się od uwagi, — przecież doskonale wiedziałeś, że koń ten miał być prezentem dla kogo innego.

Omar zaśmiał się.

— Ja wiem, ale w handlu to każdy musi przedewszystkiem dbać o własne dobro, bo, proszę pani, gdzieżby był zysk? Poza tem, bardzo chciałem mieć tego konia. Zresztą ten inny to nawet nie wiedział, że ma dostać prezent.

(D. c. d.)

PRZEGLĄD KOLONJALNY

PROPAGANDA ROLNICTWA W ANGOLI.

Rząd portugalski znów podjął dużą akcję propagandową, celem zachęcenia tak ludności białej, jak i czarnej w Angoli do uprawy pszenicy, kawy, kukurydzy i sadownictwa drzew owocowych.

Ż Lizbony wysłano już 200.000 kg różnego rodzaju nasion. We Włoszech rząd portugalski zamówił dla Angoli 50.000 kg, a w Unji Południowo-Afrykańskiej 300.000 kg pszenicy siewnej. Ponadto wkrótce mają nadejść transporty drzewek owocowych.

Tak nasiona, jak i drzewka owocowe, mają być rozdane pomiędzy białych osadników i czarnych rolników. Mają być przeprowadzone specjalne doświadczenia nad możliwością uprawy różnych roślin i drzew owocowych, dotychczas nieuprawianych w Angoli. Uprawa przetrzyny i sadownictwo ma się odbywać tylko na wysokim płaskowyżu angolskim, t. j. tam, gdzie osiadło już kilku polskich plantatorów.

Jednym z tych plantatorów jest A. Kopinski, (b. prezes Zw. sadowników i warzywników), który przed 2 laty wyjechał do Angoli i osiadł na wysokim płaskowyżu w pobliżu Huambo, przyszłej stolicy całej kolonii. Przed rokiem sprowadził on z południowej Francji 3.000 drzew owocowych i kilka tysięcy sadzonek. Zanim więc rozpoczęła się akcja rządowa, już polski plantator i znawca sadownictwa sam przystąpił do założenia ogromnego sadu owocowego na urodzajnej ziemi angolskiej.

ROZBUDOWA PORTU LOBITO.

Rząd portugalski od kilku lat rozbudowuje w Angoli port Lobito, położony na wąskim i 3 km długim półwyspie.

Zatoka Lobito jest mała (dziesięć razy mniejsza od zatoki gdańskiej), ale za to bardzo głęboka, tak, że nie potrzeba jej pogłębiać, nawet w pobliżu brzegów. Wystarczy zbudować tylko odpowiednie nabrzeża, aby statki wielkich rozmiarów mogły swobodnie wyladowywać towary wprost do magazynów.

Obecnie rząd portugalski przeznaczył 48 milj. eskudów (tj. około 15 milj. zł.) na wykonczenie robót. Port będzie zaopatrzony w najnowsze urządzenia, służące do przeladowywania towarów, głównie rudy miedzi, dowożonej koleją z Katangi, leżącej w Kongo Belgijskim.

Wkrótce mają być znieszone opłaty portowe od importowanego węgla, ropy, olejów i smarów.

Port Lobito jest już obecnie uważany za najlepszy na zachodnim wybrzeżu południowej Afryki.

Od kilku lat ruch portowy stale się zwiększał. W ostatnim jednak roku i w pierwszej połowie bieżącego roku

ruch ten osłabł znacznie z powodu zmniejszenia się wywozu rudy miedzi z Katangi.

W latach poprzednich wywóz rudy z Katangi wynosił 136.000 ton, a w r. b. cała produkcja została ograniczona do 40.000 ton.

Ceny miedzi spadły w ostatnich dwu latach o połowę i pomimo tego nie ma na nią nabywców. Dlatego też tak bardzo ograniczono wydobycie rudy miedziowej. Ucierpi na tem port Lobito, który został zbudowany głównie do przeladowania rudy, wywożonej z Katangi do Anglii.

KOLONIZACJA WŁOSKA W TRYPOLISIE.

Trypolis, poza wąskim skrawkiem wybrzeża morskiego, jest krajem pustynnym, nie posiada więc terenów, nadających się na kolonizację. Pomimo tego Włosi nie ustają w wysiłkach utworzenia terenów, odpowiednich do kolonizacji. Ziemia w Trypolisie jest urodzajna, ale brak jej zupełnie wody. Wobec tego wszędzie tam, gdzie tylko jest możliwość nawodnienia terenów, Włosi budują głębokie studnie lub zakładają zbiorniki wody i kanałami rozprowadzają ją do zakładanych gospodarstw.

Dzięki temu kolonizacja włoska Trypolisu rozwija się stale. Z przeznaczonych na kolonizację i przygotowanego do niej terenu 103.000 ha, skolonizowali Włosi w 1931 r. 40.610 ha.

Na obszarze tym urządzono 475 gospodarstw różnej wielkości. Tam gdzie warunki były odpowiednie na warzywnictwo, każde gospodarstwo miało około 75 ha. W terenach pod uprawę zbóż po 100 — 400 ha, w terenach hodowlanych powyżej 400 ha.

Większość jednak stanowią t. zw. małe gospodarstwa, na których osiadali niezamożni koloniści. Otrzymywali oni subwencję na zagospodarowanie się.

Przygotowanie do kolonizacji całego terenu tj. 103.000 ha kosztowało 22.356, 969 lirów. Z tego zużyto ponad 10 milj. lirów na zalesienie oraz 7 milj. na urządzenie nawodnienia terenów i na elektryfikację gospodarstw.

Włosi nie wyczerpali jeszcze wszystkich możliwości kolonizacyjnych w Trypolisie. To, co dotąd osiągnęli, to jest dopiero początek. Zapewne więc przy wytrwałości i użyciu znacznych kapitałów, wiele pustynnej ziemi zamieni się na tereny urodzajne, które wymownie będą świadczyły o kolonizatorskich zdolnościach Włochów oraz o ich bezspornych prawach do kolonii afrykańskich.

ZGON ŚLAWNEGO ŁOWCY ŚLONI.

Znany w Afryce myśliwy, kapitan „Jimny” zmarł ostatnio w południowym Sudanie.

Polując na grubą zwierzynę, na długie jeszcze czas przed wojną europejską, zbrodził potężne puszcze i rozległe stepy w Mozambiku, Nyassie, Tanganyce, Rodezji Północnej, Kongo Belgijskim, Ugandzie, Kenii i Sudanie. Był uważany za najlepszego myśliwca afrykańskiego. W ciągu kilkudziesięciu lat upolował 1000 słoni, oraz kilka tysięcy sztuk różnej zwierzyny.

Był to równocześnie najlepszy znawca plemion murzyńskich, ich języków, zwyczajów i obyczajów, to też gubernatorzy różnych kolonii niejednokrotnie korzystali z jego doświadczenia i znajomości spraw murzyńskich.

Za usługi, oddane Niemcom w uśmierzeniu zbuntowanych plemion murzyńskich w latach 1905—6, został udekorowany Żelaznym Krzyżem. Jednak w czasie wojny europejskiej brał udział w bitwach afrykańskich przeciw Niemcom. Za czyny w tych walkach otrzymał order Legii Honorowej.

WYSTAWA DJAMENTÓW.

W Sefridge (Unja Połudn.-Afryk.) w początkach lipca r. b. urządzono wystawę djamentów, na którą wystawcy nadesłali i umieścili na jednej tacy 2.341, a na drugiej tacy 1.172 różnej wielkości djamentów, wartości 1 miljon funtów szterl. (tj. około 31 milj. zł.).

Były wśród tych djamentów wyjątkowo piękne okazy. Jeden z nich przedstawiał wartość 2 milj. zł. Drugi mniejszy 1.200.000 zł., był jednak oglądany z wielkiem zainteresowaniem, był to bowiem sławny „Porter-Rhodes”, pierwszy djament, znaleziony w 1880 r. w Kimberley, gdzie obecnie są największe kopalnie tych szlachetnych kamieni. Niemiejsze zainteresowanie wzbudzał „Nassak” z naszyjnika cesarzowej Marii Antoniny, wartości ponad 1.000.000 zł. zabrany ongiś, przez jednego z książąt hinduskich ze świątyni Sziwy.

WYSYCHAJĄCE JEZIORO NGAMI.

W Betschuanie, w północnej części pustyni Kalahari, leży jezioro Ngami, zasilane obecnie bardzo słabo w wodę przez jedyny dopływ, t. j. rzekę Okowango, która źródła swe ma aż w środkowej Angoli.

Niski poziom jeziora wywołał znaczne zmiany w dawniejszym stanie roślinności w najbliższej jego okolicy. Rozległe i porośnię bujną trawą stepy, rozciągające się ongiś szeroko wokół jeziora, zamieniły się z czasem w pustynię.

Gdy ostatnio przeprowadzano studia nad budową kolei z Walvisbay do Maifesti w Rodezji Południowej, okazało się, że niski poziom wody w Ngami jest poważną przeszkodą w zaopatrywaniu w wodę stacji kolejowych i parowozów. Gdyby wody było więcej w jeziorze, wówczas wzdłuż znacznej części traktu kolejowego roślinność byłaby bujniejsza tak, jak to było dawniej, a wówczas rozwinięłoby się tam rolnictwo oraz hodowla bydła i owiec.

Zarząd kolonii Betschuana postanowił zbadać powód zmniejszenia się stanu wody w Ngami. Wyniki badań były interesujące. Okazało się, że rzeka Okowango została ongiś zatarasowana o 100 km., od ujścia do jeziora.

Starzy myśliwi i osadnicy opowiadają, że stało się to około 1860 r. Wówczas władca nad plemieniem murzyńskim, osiadł na północ od jeziora, był kacyk Morini. Było to plemię spokojne, oddające się rolnictwu i myślistwu. Niepokoili je jednak plemio-

na, zamieszkałe na południe od Ngami, biali myśliwcy, zapuszczający się na północ jeziora, oraz Arabowie, którzy, polując na niewolników, szli śladami wojowniczych plemion z południowego wschodu.

Kacyk postanowił z tem skończyć. Powyżej jeziora o 100 km. rzeka Okowango posiadała bystrzyny i progi, a wokół rosły duże lasy palmowe. Kacyk wyruszył tam z kilkuset czarnymi myśliwcami, kazał im poćcinać palmy, i zatarasować niemi rzekę, która później rozlała się szeroko po okolicznych piaszkach tak, że jezioro otrzymywało od tego czasu coraz mniej wody.

Kacyk osiągnął swój cel. Poziom wody w jeziorze znacznie opadł, tereny okoliczne wyschły, a zwierzyna przeniosła się dalej na północ. Wojownicze plemiona, odcięte od Ngami pasem wysychających stepów, przestały wojować z kacykiem Morini, skończyły się również napady Arabów i zmniejszyła się ilość białych myśliwych.

Obecnie administracja kolonii postanowiła oczyścić rzekę Okowango i doprowadzić wody w Ngami do dawnego ich poziomu.

KOLEJ RODEZJA — ATLANTYK.

Projekt budowy kolei przez pustynię Kalahari tj. z Matesti w Rodezji Połudn. do Walvisbay został skierowany do Izby deputowanych Unji Połudn. Afrykańskiej, która postanowiła kolej tę wybudować.

Część kosztów, a mianowicie 1.913.450 funtów szterl. pokrywa Betschuana, a reszta t. j. 223.068 funtów szterl. Rodezja Południowa. A więc cały koszt budowy kolei będzie pokryty tak, że Unja nic nie dołoży i będzie posiadała kolej, od której — jak to w dyskusji stwierdzali deputowani — zależy przyszłość Południowo-Zachodniej Afryki t. j. kolonii, nad którą ma Unja mandat.

Kolej, ta będzie koleją przeprowadzoną w poprzek Afryki i może wpłynąć na znaczne zmniejszenie się ruchu na pierwszej kolei transafrykańskiej z Kaptangi do Lobito przez wyżynę Angoli.

PUSTOSZENIE PLANTACJI PRZEZ SŁONIE.

Od lat kilku została w Afryce — i to we wszystkich kolonjach — zaprowadzona ochrona słoni. Kto chce na nie polować, musi uzyskać pozwolenie od władz kolonialnych, oraz złożyć opłatę, dochodzącą w niektórych kolonjach do 100 funtów szterl. (tj. ponad 3.000 zł.). Kara za zabicie słonia bez pozwolenia jest b. duża.

Gdy cena kości słoniowej była wysoka, wówczas było wielu amatorów polowań na słonie. Opłatę, choć wysoką każdy mógł złożyć, licząc na zyski, które niejednokrotnie były kapitałem zakładowym wielu plantatorów, przybyłych do Afryki tylko z karabinem. Ale w okresie kryzysu ceny kości słoniowej tak spadły, że nie opłaca się myśliwym składać wysokich należności za pozwolenie na polowanie.

Wprawdzie tu i ówdzie uprawiają kłusownictwo różni amatorzy, ale ilość zabitych przez nich słoni jest bardzo mała. Słonie więc nie są prześladowane i rozzuchwalały się bardzo. Podczas, gdy dawniej trzymały się zdala od osad i plantacji, to w ostatnich miesiącach urządziły wprost najście na pola uprawne, czyniąc w nich ogromne szkody.

W kolonii angielskiej Uganda plantatorzy na jednym z zebrań stwierdzili, że ilość słoni w kolonii tej wzrosła prawie o 1000 sztuk i zwrócili się do Departamentu Łowiectwa o ochronę ich plantacji przed stadami słoni, których im zabijać nie wolno.

Departament Łowiectwa oblicza, że w Ugandzie zostało zabitych w ciągu 1931 r. 1316 słoni, których kły ważyły około 17.000 kg. Pomimo tego słoni jest tam wyjątkowo wiele, gdyż wysokie trawy, nieprzebyta dżungla i olbrzymie moczary dają im doskonałą ochronę, lepszą nawet od ochrony prawnej.

W Kongo Belgijskim, w dystrykcie południowego Kawirondo, słonie przebywające w ogromnych rezerwach murzyńskich w liczbie ponad 2000 sztuk, zniszczyły zasiewy murzyńskie. Wobec tego zaangażowano łowcę słoni Davsona, który ze zorganizowaną obławą, liczącą kilka tysięcy Murzynów zdołał przepędzić słonie w odległe okolice, gdzie niema uprawnych terenów. Wyjątkowo odporne i złośliwe stare słonie w liczbie 52, Davson zmuszony był zastrzelić.

Północna Rodezja zakontraktowała myśliwca Rangeley'a, polecając mu wystrzelać słonie, które niszczyły plantacje i ogrody w okolicy Fort Jameson. Rangeley zabił 22 słonie.

W Południowo-Zachodniej Afryce, kolonii mandatowej Unji Południowo-afrykańskiej, pojawiło się w dystrykcie Outjo tak dużo słoni, iż farmerzy zwrócili się telegraficznie do administracji kolonii o ochronę ich plantacji. Słonie bowiem zaczęły im niszczyć ogrodzenia, wiatrak, a nawet małe, obok domów stojące zbiorniki wody, umieszczone na palach lub podmurowaniach.

Na jednej z plantacji zdarzył się dość zabawny wypadek. Mianowicie, w czasie zwiedzania plantacji przez kłusownika farmerów, niespodziewanie pojawiły się słonie. Farmerzy zaczęli szybko umykać, a słonie biegle za nimi, starając się ich otoczyć. Czyniło to wrażenie, jak gdyby słonie urządziły sobie polowanie na ludzi. Farmerzy z wielkim wysiłkiem i z wielkim strachem, dzięki rozproszeniu się, zdołali uniknąć stratowania przez słonie.

PRACA DUSZPASTERSKA MISJONARZY W AFRYCE JESZCZE DZISIAJ JEST NIEBEZPIECZNA.

Zdala od osad murzyńskich, na skraju pustyni Kalahari, w Rodezji Południowej, został zamordowany misjonarz Maree oraz jego służący Murzyn.

Dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, morderca jeszcze tego samego dnia został ujęty, a następnego dnia Murzyni z najbliższej wioski ruszyli na poszukiwanie zwłok zamordowanych. Najpierw natrafiono na ciało Murzyna. Zabrano je i ruszono dalej. Pod wielkim drzewem zobaczono dziesięć lwów ogryzających ciało misjonarza.

Ponieważ gromadka poszukujących była zbyt szczupła, przeto powróciła do wsi, skąd ruszyło natychmiast kilkuset uzbrojonych Murzynów. Zastali jednak już tylko kilka hyen ogryzających kości misjonarza.

Murzyni zebrali resztki kości umieścili je wysoko na drzewie i zawiadomili władze.

W Bulawayo, z końcem czerwca rb. wystawiono kości misjonarza na widok publiczny i wobec nich morderca został osadzony i stracony przez powieszenie.

TRUDNOŚCI SPRZEDAŻY BYDLA W ANGOLI.

Hodowla bydła dawała w Angoli duże zyski. Ostatnio jednak, po zmniejszeniu produkcji w kopalniach miedzi w Kongo Belgijskim w Katandze, zmniejszyło się także zapotrzebowanie na bydło angolskie. Od pewnego czasu hodowcy bydła w Angoli nie sprzedali do Kongo ani jednej sztuki.

Stwierdza to największe w Angoli przedsiębiorstwo hodowlane „Angola Estates Ltd.”, które ma 270.000 ha terenów hodowlanych i 8.000 sztuk bydła. Przedsiębiorstwo to z powodu niskich cen nie sprzedaje wcale bydła i powoli zaczyna przechodzić do uprawy sisalu, którego zdołało zasadzić 2.000 ha (t. j. 20 km²).

SAMOLOTY I CZOLGI PRZECIW OPORNEMU KACYKOWI.

W kolonii mandatowej Południowo-Zachodniej Afryce, na granicy Angoli, sprawuje władzę nad plemieniem Ukambi, kacyk Impumbu. Plemię liczy ponad 10.000 głów.

W Ovambo, okolicy, napół pustynnej t. j. na wyżynach o pustynnych stepach i lasach dziewiczych w rozległych dolinach, gdzie zaludnienie jest bardzo rzadkie, plemię to jest uważane za bardzo duże. Kacyk, czując swą władzę, często popada w zatarg z zarządem kolonii.

Ostatnio, gdy córka jego, niechcąc wyjść za mąż za Murzyna, wyznaczonego jej przez ojca, zbiegła do domu misyjnego, pod opiekę misjonarzy, Impumbu zebrał 300 wojowników i napadł na misję.

Został za to ukarany, nałożeniem grzywny w postaci 10 sztuk bydła, które winien był dostawić do najbliższego urzędu administracji kolonii. Kara, na europejskie stosunki niewysoka, ale dla Murzyna, a nawet kacyka, bardzo duża, gdyż bydło jest jego jedynym majątkiem, którego nie chce się pozbyć za żadne skarby.

Impumbu grzywny nie zapłacił, lekceważąc sobie wyrok administracji kolonii. Za tę pogardę dla władzy białych został skazany na grzywnę 40 sztuk bydła. Ale skoro i tej kary nie zapłacił w oznaczonym czasie, a nawet ukrył się w głębi kraju, wówczas władza administracyjna wysłała na jego poszukiwanie samoloty wojskowe, które odszukały całe plemię. Nie mogły jednak zaatakować go, gdyż mężczyźni ukryli się w chatkach, a kobiety i dzieci pozostawili nazwewnątrz domów.

Wobec tego rząd wysłał czołgi. Kacyk jednak, (jak podają niektóre źródła) chytrze porzucił na ich drodze małe pnie pszczoł, które po rognieceniu uli rzuciły się przez otwory w czołgach na załogę i dotkliwie ją pokłuły. Czołgi musiano zatrzymać aż do wieczora, a potem, gdy pszczoły zasnęły, wyniesiono je.

Ostatecznie przy współdziałaniu samolotów kacyk został schwytany, doprowadzony do urzędu administracji, gdzie złożył solenne przyrzeczenie zapłacenia grzywny.

Jest to nie pierwszy wypadek poskramiania samolotami i czołgami nieposłusznymi kacyków. Wyprawa ta, o charakterze wybitnie wojskowym, wykazała — jak i w innych wypadkach — całą skuteczność tego rodzaju broni. Pomimo wojowniczej postawy całego plemienia skończyła się bezkrwawo, gdyż Murzyni byli bezsilni wobec opancerzonych czołgów.

CZARNY PODSEKRETARZ STANU Z WIZYTA W NIGERJI.

Blaise Diagne, Murzyn, deputowany Senegalu do francuskiego senatu, zajmuje stanowisko podsekretarza stanu we francuskim Ministerstwie Kolonii.

Wyruszył on w podróż urzędową celem zbadania stanu gospodarczego i administracji we francuskiej Afryce Zachodniej. Zwiedził także i angielską kolonię Nigerję, gdzie ludność miejscowa witała go z wielkim entuzjazmem i zainteresowaniem, albowiem w kolonii tej niema żadnego urzędnika Murzyna.

Zainteresowanie było tem większe, iż nie wiadano jak się do czarnego dygnitarza będą odnosili urzędnicy an-

gielscy, znani ze swego nieprzychylnego stosunku do czarnych bliźnich. Przypuszczano, iż Anglicy „nie zauważą” jego wizyty. Tymczasem władze angielskie przyjmowały go ze wszystkimi honorami, przysługującymi białym dygnitarzom państwowym.

Diagne złożył wizytę gubernatorowi Nigerji, który przyjmował go oficjalnie. Wizyta — ku ogólnemu zdziwieniu — trwała półtorej godziny.

Jeśli się weźmie pod uwagę nastrój Anglików do rasy czarnej, to trzeba zauważyć, że przez tak uroczyste przyjęcie Murzyna, stwierdzają Anglicy, że i ich poglądy o „wyższości” rasy białej zaczynają powoli się zmieniać.

Zestawił FR. LYP.

Mass. 238, South Bend, Ind. 3999, Spokane, Wash. 184, Springfield, Mass. 3175, Syracuse, N. Y. 5037, Tacoma, Wash. 380, Tampa, Fla. 48, Toledo, Ohio 8360, Trenton, N. J. 3846, Tulsa, Okla. 109, Utica, N. Y. 3871, Washington, D. C. 1562, Wichita, Kans. 46, Wilmington, Del. 2647, Worcester, Mass. 3604, Yonkers, N. Y. 4022, Youngstown, Ohio 2238.

To są dane, dotyczące się osób, urodzonych w Polsce. Liczba ich dzieci, urodzonych w Ameryce jest o 367,110 wyższa. Tak urodzeni w Polsce, jak i ich dzieci stanowią 10 procent wszystkich, urodzonych zagranicą mieszkańców Ameryki i ich dzieci.

Jeśli przyjmujemy podaną przez biuro spisu liczbę wszystkich Polaków w Stanach 3.342,198, jako podstawę obliczeń, to po odjęciu liczby Polaków, przebywających w 90 największych miastach Stanów Zjednoczonych, musimy uwierzyć, że tylko 30% Polaków, a więc niecały milion, mieszka w małych miasteczkach i na farmach.

W tym roku procent ten ulegnie pewnej zmianie, wielu bowiem Polaków, którzy stosunkowo niedawno przybyli do wielkich miast, wraca na farmy, gdzie łatwiej przetrzymać szalejący w osiedlach fabrycznych kryzys.

CZ. ŁUKASZKIEWICZ.

LICZBA POLAKÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Trudno jest ustalić dokładną liczbę Polaków w Stanach Zjednoczonych. Trudność ta polega głównie na tem, że przed wojną Stany nie uznawały wogóle narodowości polskiej i zapisywały naszych emigrantów, jako Rosjan, Austriaków i Niemców. Poza tem nie wiadomo było, jak daleko posunął się wśród Polaków proces wynarodowienia, kogo tedy należy uważać za Polaka?

Biuro spisu ludności przy Departamencie Handlu w Washingtonie rozstrzygnęło tę sprawę tak, że za Polaków uważa tylko osoby, urodzone w Polsce, oraz ich dzieci. Nie jest to rzecz jasna — ściśle określenie, gdyż znaczna część dzieci przybyszów z Europy nie zna prawie języka rodziców, często zaś się zdarza, że nawet trzecie pokolenie, zrodzone w Ameryce, wykazuje bardzo silne przywiązanie do polskości.

Wspomniane biuro ogłosiło ostatnio dane statystyczne, dotyczące się ludności obcego pochodzenia w 93 największych miastach amerykańskich, liczących ponad sto tysięcy mieszkańców. Według tych danych w owych miastach mieszka ogółem 2,374,632 Polaków, z czego na urodzonych w Polsce przypada 1,018,761 osób, a na ich dzieci 1,355,871.

Ogólna liczba Polaków, urodzonych w Polsce przedstawia się w następujących wielkich miastach tak:

Akron, Ohio 1759, Albany, N. Y. 1879, Atlanta, Ga. 473, Baltimore, Md. 10863, Birmingham, Ala. 257, Boston, Mass. 9903, Bridgeport, Conn. 3604, Buffalo, N. Y. 26616, Cambridge, Mass. 1181, Camden, N. J. 3528, Canton, Ohio 697, Chattanooga, Tenn. 147, Chicago, Ill. 149622, Cincinnati, Ohio 955, Cleveland, Ohio 32668, Columbus, Ohio 478, Dallas, Tex. 462, Dayton, Ohio 632, Denver, Colo. 1632, Des Moines, Iowa 411, Detroit, Mich. 66113, Duluth, Minn. 1280, Elizabeth, N. J. 5226, El Paso, Tex. 92, Erie, Pa. 4266, Evansville, Ind. 29, Fall River, Mass. 2015, Flint, Mich. 1432, Fort Wayne, Ind. 287, Fort Worth, Tex. 271, Gary, Ind. 2702, Grand Rapids, Mich. 4690, Hartford, Conn. 5236, Houston, Tex. 813, Indianapolis, Ind. 498, Jacksonville, Fla. 122, Jersey City, N. J. 12432, Kansas City, Kans. 850, Kansas City, Mo. 1646, Knoxville, Tenn. 41, Long Beach, Cal. 119, Los Angeles, Cal. 6895, Louisville, Ky. 520, Lowell, Mass. 1602, Lynn, Mass. 1496, Memphis, Tenn. 457, Miami, Fla. 134, Milwaukee, Wis. 19593, Minneapolis, Minn. 4555, Nashville, Tenn. 146, Newark, N. J. 15669, New Bedford, Mass. 2249, New Haven, Conn. 3140, New Orleans, La. 408, New York, N. Y. 238339, Bronx Borough 55969, Brooklyn Borough 106714, Manhattan Borough 59120, Queens Bor-

ough 14344, Richmond, Borough 2192, Norfolk, Va. 213, Oakland, Cal. 617, Oklahoma City, Okl. 100, Omaha, Neb. 2546, Paterson, N. J. 5716, Peoria, Ill. 154, Philadelphia, Pa. 30582, Pittsburgh, Pa. 15251, Portland, Ore. 1333, Providence, R. I. 2730, Reading, Pa. 2465, Richmond, Va. 289, Rochester, N. Y. 5878, St. Louis, Mo. 5198, St. Paul, Minn. 2610, Salt Lake City, Utah. 139, San Antonio, Tex. 319, San Diego, Cal. 248, San Francisco, Cal. 2933, Scranton, Pa. 4536, Seattle, Wash. 975, Somerville,

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY PODRÓŻNIKÓW I EKSPLOATORÓW POLSKICH

(ciąg dalszy)

DMOCHOWSKI Henryk Dr. (Henryk de Saunders), ur. 14. X. 1810 w Wilnie poległ pod Poruczem 11. V. 1863, rzeźbiarz, brał udział w powstaniu listopadowym, od 1848 przebywał w Paryżu, poczem udał się do Anglii, wreszcie osiadł w Stanach Zjedn. w Filadelfji, gdzie zdobył sławę popiersiem Pulaskiego na pomniku w Sawannah, popiersiami dla Kapitolu w Waszyngtonie itd.; wróciwszy 1860 do kraju rzeźbił m. i. Tytusa Działyńskiego i pomnik Barbary Radziwiłłówny; w powstaniu styczniowym stanął na czele oddziału, którym dowodząc poległ pod Poruczem.

Gutenberg — Wielka Encyklopedia — **Zieliński** Stanisław: Bitwy i potyczki 1865, Rapperswill, 1913, str. 316, 426 i 647. — **Wiadomości z pola** bitwy 1863, Nr. 13.

DOBROWOLSKI Antoni Bolesław, meteorolog i podróżnik, dyrektor P. Instytutu Meteorologicznego, członek Pol. Komitetu Narodowego Roku Polarnego; w r. 1897 brał udział wraz z Arctowskim w belgijskiej wyprawie do bieguna południowego, o której napisał: „Wyprawa polarna. Historia i zdobycze naukowe” Warszawa, 1926, str. 339 z 83 ryc. 3 tabelami i 3 mapami. „Belgijska wyprawa antarktyczna”, **Ateneum**, 1888, T. III, p. 240—272; jest autorem monografii lodu oraz oryginalnej pracy o wyprawach polarnych.

Gadomski Ad.: Polacy odkrywcy i podróżnicy, Kalendarz Il. Kur. Codz. na rok 1929 — **Gutenberg** — **Mailszewski** Olszewicz — **Wyprawa Polska...** do południowego bieguna, **Gazeta Handlowo Geograficzna**.

1898, Nr. 9. **Wasowicz** J.: Wielki badacz Arktydy prof. Samojłowicz przyjeżdża do Polski, **Il. Kur. Codz.**, 1932, Nr. 63.

DOMANIEWSKI Janusz Witold Dr., ur. 30. IV. 1891 w Krakowie; w 1914—15 asystent przy katedrze zoologii w Wyższej Szkole Rolniczej w Saratowie i p. o. dyrektora Wołańskiej Stacji Biologicznej, od 1915—1920 kustosz Muzeum Zoologicznego, które za jego inicjatywą przekształcono w Państwowe Muzeum Zoologiczne, kustosz tegoż muzeum od 1930 i kierownik Stacji Badania Wędrówek Ptaków przy Muzeum Zool., członek koresp. „American Ornithologists Union” oraz innych instytucji naukowych zagranicznych, członek Komisji Fiziograficznej i Geogr. Pol. Akademii Umiejęt. W latach 1914—1915 badał faunę doliny Wolgi, w 1927 brał udział w wyprawie Sawickiego do Rumunii; ogłosił kilkadziesiąt rozpraw i przeszło 200 artykułów w pismach fachowych polskich i zagranicznych; wydał m. i. „Zarys geografii zwierząt”, Warszawa, 1923 oraz z zakresu systematyki i geografii ptaków szereg prac, w których opracował zbiory azjatyckie Dybowskiego, Kulonowskiego, Jankowskiego, Parvexa, Godlewskiego, Bareja i Mollesona, południowo amerykańskie Jelskiego, Sztolmana i Kalinowskiego; w 1929 przeprowadzał badania zoologiczne Dobrudży.

Ankieta — **Jaczeński** T.: The Polish Zoological Expedition to Brazil in the years 1921—1924, **Prace zool. P. P. Muzeum Przyrodniczego**, 1925, zesz. 4, i odbitka, Warszawa, 1925.

(d. c. n.)

STANISŁAW ZIELIŃSKI

W PRZYSTOPI ARCISZEWSKIEGO



JAKO IMĆ ARCISZEWSKI Z RODAKIEM SMĘTKIEM SIĘ SPOTKAŁ i CO Z TEGO WYNIKŁO

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Światło gasnącego dnia jesiennego poprzez szybki w olów oprawne rysowało piękne kolorowe wzory na blacie stołu, u którego na zydłu wysokim siedział mąż surowego, a zdobnego w piękne blizny, oblicza. Od prawego ramienia do lewego boku poprzez pierś jego szeroką złościła się szarfa, oznajmująca wysoką szarżę pułkownikowską. Ogień wina andegawęńskiego, czerpanego z ciężkiego kryształu, kraśniał i kwitł w pospolitych dość rysach pułkownika, którym nie był nikt inny, jeno sam Butler z pod znaków hr. Alfreda Wallensteina.

— Znanyś nam jest, wasza mość — mówił pułkownik do młodszego wiekiem i szarżą żołnierza — jako oficer wielkiej, mimo młodych lat, eksperjencji¹⁾, doskonały indziner, minier i petardnik, zaś wiadomo nam jeszcze, że szafczykom, usypanym przez waści przy dobywaniu Hercegenbuszu całe niderlandzkie wojsko się dziwowało, przeto niewczesna widzi mi się ta waszej mości modestja²⁾, głębsze jakoweś kryjąca rationes. Na artillerji, równo i na wypróbowanem męstwie siła Jego Cesarskiej Mości i memu znakomitemu wodzowi zależy, zatem, repeto³⁾, kompanję przednią będziesz wasza mość miał w regimencie Hackfelda i jenerał — intendaństwo wszytkiej artillerji z lafą dwóch tysięcy dukatonów annuatim⁴⁾. Jeżeli to nie są kondycje⁵⁾ wyborne — Butler pięścią w stół prasał — to niech mnie prochami napchają i z kartauny⁶⁾ wystrzela!

— Rada by dusza do raju, ale grzechy nie puszcza — odpowiedział człek młodszy w skąpym moderunku, lecz w każdym calu żołnierz. Jednocześnie obejrzał się ów kawaler na uchylone drzwi izby, gdyż mu się zdało, że go ze schodów doszedł cichy charakterystyczny rechot: he — he — hee! — a śmiech ten dobrze mu był znany.

— W porę wasza mość o tych grzechach wspomniales — podjął Butler. Cięża na tobie, bracie żołnierzu, ponoć gravamina⁷⁾ jakieś, infamje, banicje et caetera, do których nam zgola nic. Aleć to ci powiem, że przez służbę do łaski cesarskiej, a przez nią z kolei do króla polskiego acces⁸⁾. A żebyś wiedział, mości kawalerze de Arciszewo, że ów wasz król Zygmunt tak się na waści zawziął,

że jeśli protekcja cesarska ominie, tyńfa za twoje życie bym nie dał. Wiem, żeś rezolut — stary pułkownik wsparł się ciężko i do ucha Arciszewskiego schylił — i to ci rzeknę przez czystą amicycję, że twoje pisma do księcia na Birzach przejęte i że Sigismundus od infantki Izabelli dostawienia cię żywym żąda, aby, snąc, dobytymi torturą zeznaniami, przeciw panu twemu się posłużyć. Infantka, powiadają, taką przywiązuje do sprawy tej wagę, że rozeszły się słuchy o wysłaniu eskadry z Dunkierki do Sundu z tajnemi co do waści instrukcjami, a chociaż do tego nie doszło, przecie u tych brzegów jedna nawa hiszpańska widziana była. Crimen laesae majestatis ci inculpują...

— I to mi jest wiadomo, wasza miłość.

— Wóz, albo przewóz, kawalerze, to gardłowa sprawa.

— Nie neguję. Wszakże panu memu Księciu Krysztofowi Radziwiłłowi nadewszystko wierność powinienem. Gorzką bym niewdzięcznością opiekuna mego i dobrodzieja nakarmił, gdybym na zaszczytne cesarskie kondycje przystał. Całkiem jakobym sprawie książęcej stał się fidefragus⁹⁾. Wasza miłość sam wie co dla żołnierza znaczy wierność.

Zapadło ciężkie milczenie, tylko za drzwiami lekkie skrzypienie schodów słyszeć się dawało. Stary wojak młodego ciężkiem spojrzeniem musztrował. Badał on tę twarz ostrą, jak szablę, z nosem o rozdętych chrapach, z czołem wysokim, buńczucznem i nader bladych, błękitnych oczach, z których precyzyjnie, jak do celu, spojrzenia strzelały. Płowe włosy nietrefione z cieniem rdzawym na podarty koronkowy kołnierz mu spadały. Oczy Arciszewskiego były osadzone szeroko, iakby dla lepszej obserwacji, a mocna szczeka z wysuniętą wargą dolną twarz zatrząskiwała, jak zamek. Wąs rudy strzyżony i hiszpańska bródka dopełniały fizjonomji, zdradzającej nadewszystko lotność umysłu i determinację.

— Hm — westchnął Butler i pustą szklenicę odsadził. — Wiesz, kawalerze, że mi sie widzi, ty na drugiego Wallensteina się wysforujesz, albo kat będzie miał z ciebie pociechę. — I nalewając do obu szkieł wina, dodał: — Taki nasz los. Dziś pijesz, jutro gniejesz. Za naszą dolę żołnierską!

¹⁾ doświadczenia, ²⁾ skromność, ³⁾ powtarzam, ⁴⁾ rocznie.

⁵⁾ warunki, ⁶⁾ działo oblężnicze, ⁷⁾ zarzuty, ⁸⁾ droga.

⁹⁾ wiarołomny.

— Za dołę żołnierską!

Tracili się kielichami, aż szkło dźwiękło prze-
rażliwie, jak stal. Arciszewski wypił, powstał,
przywiesił rapier, zmacał za pasem króciwą. Potem
dłoń pułkownika ścisnął. Otoczył się płaszczem
i skłonił jeszcze od drzwi.

— Vale! ¹⁰ — I tak się rozstali, jak dwa mija-
jące się w nocy okręty.

Zstępując po wąskich schodach, wiodących
jak drabina od sieni po strych gospody, rycerz for-
tuny, obejrzał się parę razy w mrok, gdyż zdało mu
się, że za nim wślad ktoś schodzi. Nic jednak nie
dostrzegł w gęstym mroku. Na dole, w izbie gościn-
nej oberży „Pod Tarczą Niderlandów“ trząskał w
kominie wesoły ogień, oświetlając skapo stoły, u
których pili zwербowani przez West-Indzką Kom-
panję zaciężni żołnierze i marynarze siedemdziesię-
ciu admirała Adrianzoona okrętów. Trwonili oni
wyliczone im awansem na lon guldeny. A należeli
owi pacholkiwie snać do arjegardy, gdyż główna
siła wypłynęła była już z portów w ów pamiętny
dla Krzysztofa z Arciszewa dzień 16 listopada 1629
roku, który właśnie zgasił i ustąpił nocy mgieł.

Rechot buchał od stołów z wyzwickami naprze-
mian, piskami gamratek, dzwonieniem kubków
i śpiewami. Przebijająca nuta piosenki o Piterze Hej-
nie, admirałe, który wrócił z łupem dwunastu miljo-
nów guldenów. Zewsząd tedy rozbrzmiewało w
izbie basowe wołanie:

Pit Hejn! Pit Hejn!

Imię twoje cale małe,

Czyny twoje zaś wielkie,

Boś ty zgarnął srebrny łup!

Wszelako skroś owe hałasy Arciszewskiemu
ciągle się zdawało, że słyszy wyraźnie skrzekliwy
śmiech, który raz go już doszedł podczas dyskursu
z Butlerem. A miał on powody dla rozpoznania
tego śmiechu wśród całego chorału rechotów. Tak
śmiał się jeden tylko człowiek, czy też czym tam
był ów nicpoń, który go do mordu na Brzeźnickim
podjudził — jednooki Wawrzyn Smętek. On to
wywłócił zamordowanemu kauzyperdzie język
z gardzieli i do pnia szubienicy przybił go hufnałem.
Katowska robota.

Arciszewski śpieszył do Rotterdamu, pozosta-
wiając poza sobą pas fortalicyj. Droga mu wypa-
dała przez miejsca odludne. Pograżony w gorzkiej
rozpaczy i rozpamiętywaniach ani spostrzegł, jak
za nim z gospody kilku drabów się wymknęło.
Dopiero kiedy ostry gwizd w tyle ciszę nocną prze-
szył, a opodał z prawa i zlewa na trakcie takimiż
gwizdami odpowiedziano, oficer obejrzał się. Wielki
pyzaty księżyc na pochmurne niebo wylazł, złocąc
rozkrzyżowane tu i ówdzie skrzydła wiatraków
i zimne, szklane pręgi kanałów. O staję, na moście
rysowała się jakaś zbrojna kupa, niby warta. Ze
zrujnowanego spichrza po lewej ręce Arciszewskie-
go zabiegały chybkie, podejrzanie cienie, a z tyłu
o strzał z muszkietu nadciągali ci ludzie, którzy wy-
szli byli z gospody.

Sidla Hiszpanów, aby go żywcebrać! A nie-
doczekanie wasze! Tylko do brzegu był dostęp.
Tam o kilkanaście kabli na redzie tliły się światła
kotwiczne „Dortu“, małej korwety, należącej do
kompanji.

Bez wahania Arciszewski rzucił się precz z trak-
tu na bagnisto diuny. Dudniły za nim zbiegające

się kroki. Przyплыw był i brzeg blisko. Sieci ry-
backie, na tykach rozwieszone, zagnały się rozsta-
piły, i wówczas ujrzał małą barke, którą drobna
fala podpychała; w łodzi zaś trzymał się człek
w marynarskim przyodziewku i pogwizdywał. Ar-
ciszewskiemu, czy z biegu, czy z dziwu dech
w piersi zaparło.

Z pod woskowanego kapelusza marynarskiego
jedno tylko oko, zielone, błyszczało; głos był skrze-
kliwy, a słowa polskie:

Miałem ci ja raz kumpana.

Drań był z niego arcyszelma.

Miał na oku rodzaj bielma.

Tęgo ciągnął on ze dzbana,

Aż go ściągnął stryk za szyję.

He — he — hee!

— Smętek — krzyknął Arciszewski — tyżeś
to, czy twój duch!

— Jam ci jest, wasza miłość, a któżby? Ja,
Smętek, he — he — hee!

Bez dalszych wyjaśnień Arciszewski zepchnął
barke i wskoczył za burtę, a Smętek wiosłem się
odepchnął.

— Zaraz tu staną — pierwszy się ozwał rycerz
fortuny. — Z muszkietu nas ustrzela.

— Ej, niema strachu, wasza miłość. Dyć przy-
kazano im, waszą wielmożność żywcebrać.

Arciszewski tymczasem czasu nie tracił, lecz
wciągał żagiel, bom¹¹⁾ przerzucił w pół-burty¹²⁾.
Przetąńczyli po pierwszej grzywie.

Z poza sieci zbiegali się luzem bryganci.

Ten i ów próbował dognać łódź wbród, ale ani
strzał nie padł.

— Dajno jegomość przeciwagę — doradzał
Smętek z beczelną swą poufałością — łódź nadto
się kładzie.

Żagiel łopotał i szumiała fala, więc natężając
głos Arciszewski wołał:

— A tyżeś się tu skąd wziął?

— Jaby nie miał biec w sukurs waszej wiel-
możności, he, he, hee!

— Ale skądżeś mógł wiedzieć, łgarzu?

— A tom nadarmo u Maurów w ciemnym
kunszcie terminował? Stosowną porą dokumentnie,
waszej miłości, całą rzecz wyłożę. Chyba mnie
wasza mość precz od siebie nie pognasz tym razem!

— Et, breszesz. Steruj w kanał, a nie do owej
korwety, bo mi pora do Rotterdamu, a nie chęć do
Brazylii.

— A cóżbyś, wasza mość, nieboże w Roter-
damie poczał? Toć ta kompanijka, którąś nie chciał
brać do West-Indyji, na „Dorcie“ wciąż czeka na
swego kapitana.

— Ja im nie kapitan. Smętek, rozumiesz stra-
dał, czy co?

— Całkiem odwrotnie, wasza mość. Widząc
w jakiej żeś się wasza mość znalazł opresji, wy-
brałem się do Kompanji. Starszy tam był, Longue,
prezentował się godnie, więc ja do niego w te
słowa: Pan mój, kawaler de Arciszewo, przyjać
kompanję się zgadza i tu mnie przysyła z tem o-
znajmieniem, abyście kapitanowi Klootsowi na
„Dorcie“ wieść dali, że dziś przed północą na po-
kład przybędzie. Dopieroż się mynchoerowie¹³⁾ ura-
dowali.

¹⁰⁾ Żegnaj.

¹¹⁾ drzewce żagla. ¹²⁾ pod prostym kątem, ¹³⁾ panowie.

— Słuchaj, ty, arcydraniu —
— I bardzo waszą mość chwalili za determinację. I wiele sobie po waszej miłości obiecowali. I awansem na lon wzionem dukatanów dziesięć set, które wasza mość w swej kabinie znajdziesz —

— Jeżeli ja ci, Smętek, karku nie skręcę!
— Uważaj, wasza mość, łódź przewalisz!

Byli już o kabel od burty „Dortu” i wraz głos warty ich obwołał: — Kto idzie?

— Flaga! — odchrząknął Smętek od steru i capim swym śmiechem zabeczał: — he — he, hee!

— Bardzo to, czarcie, misternie na moją zgubę wykalkulował — rzekł Arciszewski po krótkiej chwili.

— Na chwałę waszą, panie — Smętek na to — i na większą chwałę imienia polskiego!

Zaraz też na pokładach korwety rumor się uczynił. Opadł trap¹⁴⁾ i po obu bokach warta się ustawiła pod grzechot werbla.

Nie mieszkając, Arciszewski kazał podnieść kotwicę.

¹⁴⁾ drabinka.

MIEJSKIE ZAKŁADY OPALOWE

CENTRALA, ul. KREDYTOWA № 2, tel. 636-87, 636-31 i 202-75
sprzedają od pół tonny wżwyż najtaniej i w najlepszych gatunkach

WĘGIEL, KOKS, DRZEWO OPALOWE
W CENTRALI I W SKŁADACH WŁASNYCH

SKŁAD I. „SYBERJA”

SKŁAD II.

SKŁAD III.

ul. Towarowa 13, tel. 314-45

ul. Długa 20, tel. 11-53-68

ul. Wileńska wp.Nr. 39, tel. 10-02-30

oraz w następujących sklepach miejskich:

ul. Senatorska 12.
• Wolska 47.
• Plac Kazimierza W.
• Emilji Plater 19.
• Sienkiewicza 11.
• Belsoderska 10.
• Muranowska 8.
• Karowa 4.
• Podwale 30/32.
• Zamenhofa 37.
• Grzechowska 9.
• Brzeska 15/17

ul. Syrokomli 8.
• Plac Trzech Krz. 8.
• Złota 62.
• Dobra 27.
• Krucza 26.
• Bednarska 19.
• Żelazna 84.
• Zoliborz Hotel Ofic.
• Twarda 46.
• Paszyńska 44.
• Puławska 95.
• Targowa 8.
• Florjańska 6.

ul. Długa 23.
• Kopernika 25.
• Hrubieszowska 10.
• Koszykowa 47.
• Orla 1.
• Annapol — Baraki
• Zoliborz — Baraki
• Zol. Al. Woj. Pol. 29.
• Podskarbińska 6.
• Leszno 50
• Żelazna 44.
• Sandomierska 19.

KRONIKA KOLONJALNA

WYJAZD P. CHMIELEWSKIEGO DO ANGOLI

W pierwszych dniach września r. b. wyjechał wraz z żoną na stały pobyt do Angoli p. Jerzy Chmielewski agronom, jeden z członków założycieli Związku Pionierów Kolonialnych, były członek ekspedycji, jaką Liga Morska i Kolonialna wysłała w r. 1928 dla zbadań możliwości osadniczych na wysokim płaskowyżu angolskim, oraz autor książki p. t. „Angola”.

P. Chmielewski zamierza nabyć w Angoli teren i założyć na nim plantację.

PROCES MIERNIKÓW PARAŃSKICH z TOWARZYSTWEM KOLONIZACYJNEM.

Towarzystwo Kolonizacyjne (z siedzibą w Warszawie) prowadzi kolonizację w Brazylii, w stanie Espirito Santo. Zamierzało prowadzić ją także na terenie parańskim. W tym celu nabyło przed dwoma laty odpowiednie tereny na zachodzie Parany i zakontraktowało mierników pp. Radeckiego i Benradta do przeprowadzenia pomiaru nabytych terenów.

Ponieważ później Towarzystwo wstrzymało te roboty, przeto miernicy wystąpili z pretensją do Towarzystwa za niedotrzymanie umowy o odszkodowanie w wysokości 500,000 milrejsów (t. j. według kursu obecnego 300.000 zł.). Sprawa została skierowana do sądu brazylijskiego w Kurytybie. W pierwszej instancji Towarzystwo przegrało proces. Wniosło jednak odwołanie.

Druga rozprawa odbyła się w sierpniu r. b. w Wyższym Trybunale Spra-

wiedliwości, który zatwierdził wyrok pierwszej instancji. Prawdopodobnie Towarzystwo wnieśli odwołanie do Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości w Rio de Janeiro, którego wyrok będzie ostateczny.

STYPENDYŚCI L. M. i K. z BRAZYLJI.

W dn. 12 września b. r. przybyli do Polski dwaj absolwenci gimnazjum brazylijskiego w Ponta Grossa, Czesław Las i Henryk Kudliński, synowie emigrantów polskich z Brazylii. Otrzymali oni stypendja Ligi Morskiej i Kolonialnej na ukończenie studiów w kraju. Opiekę nad stypendystami objęły Okręg Zagłębia Węglowego oraz Oddział L. M. i K. w Bydgoszczy. Akcja stypendjalna Ligi ma na celu pomnożenie ilości inteligencji polskiej w Brazylii, wywodzącej się z pośród miejscowego żywiołu polskiego.

ODWIEDZINY „STAREGO KRAJU”.

W tych dniach przybył na urlop do Polski p. Jan Wojnar, referent ekonomiczny Poselstwa R. P. w Rio de Janeiro.

Równocześnie powrócił na stały pobyt do kraju, znany artysta-malarz, p. Karol Kryński, b. redaktor „Gazety Polskiej” w Kurytybie.

OPIEKA NAD SZKOLNICTWEM POLSKIM w BRAZYLJI.

Prowadzona przez oddziały przy Ministerstwie Sprawiedliwości w Warszawie, w Płocku, w Przeworsku w

Sarnach, oraz Okręgów Zagłębia Węglowego i Poznańskiego opieka nad poszczególnymi szkołami polskimi w Brazylii rozwija się bardzo pomyślnie, zwłaszcza w dziedzinie dostarczania czasopism, pomocy szkolnych, oraz bibliotek dla młodzieży, których brak odczuwa dotkliwie tamtejsze szkolnictwo. W akcji tej bierze żywy udział młodzież, zrzeszona w kołach Szkolnych L. M. i K., utrzymując korespondencję ze swoimi kolegami w Brazylii.

KONGRES EMIGRACJI CZECHOSŁOWACKIEJ W PRADZE.

Latem r. b. odbył się w Czechosłowacji w Pradze kongres delegatów Czechosłowaków, przebywających zagranicą w ilości ponad 2 miliony.

Wygłoszono na nim szereg referatów o położeniu ekonomicznym i kulturalnym Czechosłowaków w różnych krajach, oraz uchwalono szereg rezolucji, między innymi o dostosowanie ustawodawstwa emigracyjnego Czechosłowacji do potrzeb emigracji, oraz o rozciągnięcie opieki nad emigracją czechosłowacką w krajach emigracyjnych.

Kongres ten można uważać za analogiczny ze Zjazdem delegatów emigracji polskiej w r. 1929, który powołał do życia Radę Organizacyjną Polaków Zagranicą, sprawującą swe czynności w Warszawie.

Zapewne i emigracja czechosłowacka — na wzór polskiej — wytworzy po kongresie w Pradze, jakąś organizację, która będzie reprezentowała wobec majorzy interesy wychodźstwa czechosłowackiego.

WYSOKIE NAGRODY

WYPŁACA DYREKCJA KAŻDEMU, KTO WYKRYJE I WSKAŻE POTAJEMNY UBÓJ w WARSZAWIE.

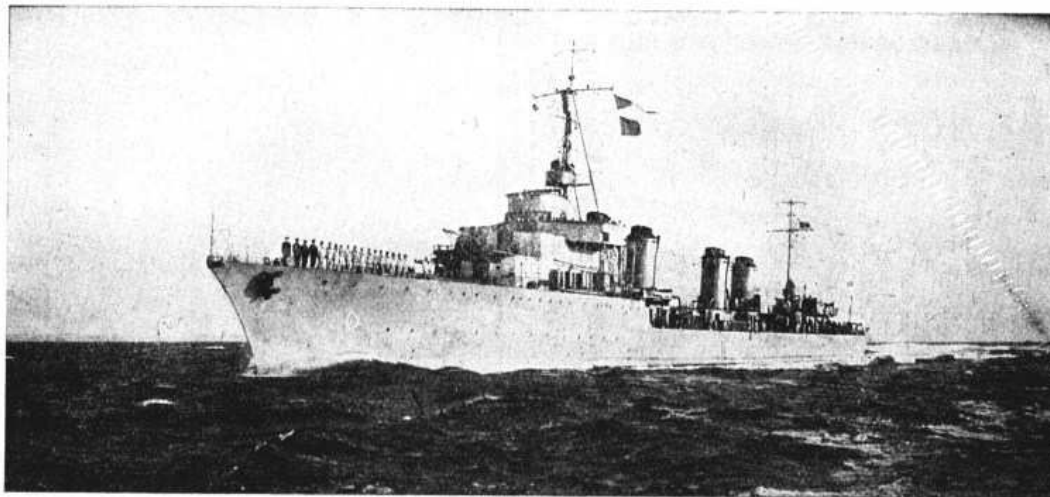
INFORMOWAĆ OSOBIŚCIE W BIURZE DYREKCJI (UL. NAMIESTNIKOWSKA № 2) LUB TEL. 10-22-09.

WYPŁATA NAGRÓD NASTĄPI NIEZWŁOCZNIE.

DYSKRECJA ZAPEWNIONA.

ATELIERS ET CHANTIERS DE LA LOIRE

4, Rue de Téhéran, Paris
STOCZNIE I ZAKŁADY W ST. NAZAIRE — ZAKŁADY W ST. DENIS (PARYŻ)
BUDOWA OKRĘTÓW WOJENNYCH I STATKÓW HANDLOWYCH



Kontrtorpedowiec „Albatros” Francuskiej Marynarki Wojennej osiągnął szybkość 41.9 węzłów.

KRĄŻOWNIKI — KONTRTORPEDOWCE — ŁODZIE PODWODNE (Loire Simonot)
TORPEDOWCE — TURBINY — MOTORY DIESLA LOIRE-SULZER

Budowa maszynierji dla kontrtorpedowców polskich „WICHER” i „BURZA” oraz budowa polskiej łodzi podwodnej „RYŚ”

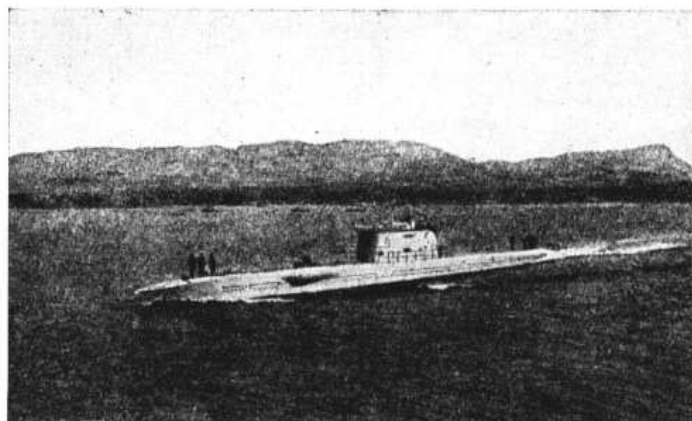
SCHNEIDER & C^{IE}

ZARZĄD: 42, RUE D'ANJOU, PARIS

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



ARTYLERJA MORSKA.
WIEŻE. PŁYTY PAN-
CERNE. RURY TORPE-
DOWE. URZĄDZENIA
PORTOWE I WYPOSA-
ŻENIE. REZERWOARY
— DLA PLANÓW. —



MASZYNY MORSKIE I
TURBINY. KOMPRESO-
RY POWIETRZNE, ŚRU-
BY OKRĘTOWE. MOTO-
RY ELEKTRYCZNE I
OSPRZĘT. SPECJALNE
— ODLEWY ŻELIWNE. —

„Katsonis”, łódź podwodna o wyporności 605 ton, zbudowana dla greckiej floty wojennej.

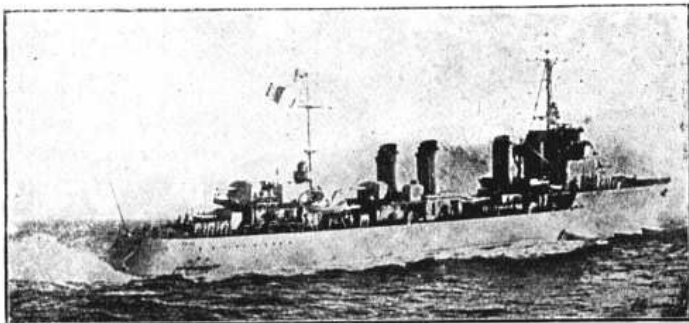
Łodzie podwodne (typu Schneider-Laubeuf). Motory typu Burmeister i Wain, 4-ro i 2-u taktowe (o pojedynczym i podwójnym działaniu dla wszelkich statków handlowych, budowanych we Francji), 2-u taktowe motory typu Schneider dla łodzi podwodnych.

WARSZTATY: Le Creusot, Breuil, „Henri-Paul”, La Londe-Les Maures, Havre, Harfleur, Hoc Bordeaux, i t. d. STOCZNIE: Chalon s/Saône.

Prosimy powoływać się na powyższe ogłoszenie w „Morzu”

PENHOËT

**Budowa
OKRĘTÓW wojennych
i STATKÓW handlowych**
wszelkich typów i rozmiarów
(KRAŻOWNIKI, KONTRTORPEDOWCE
TORPEDOWCE, ŁODZIE PODWODNE itp)



Kontrtorpedowiec „Valmy”, całkowicie zbudowany na stoczni Penhoët (szybkość 38,85 węzłów) wyposażony w kotły o palenisku mazutowym typu „Penhoët”, z którymi francuskie kontrtorpedowce ustanowiły rekord szybkości (42 węzły).

Société des CHANTIER ET ATELIERS
de St NAZAIRE — PENHOËT
7 rue Auber PARIS

DLA PODRÓŻUJĄCYCH DO POLSKI

Najkrótsza, najwygodniejsza
i najprzyjemniejsza linja
okrętowa

Okręty „Compagnie Générale Transatlantique”,
pierwsze w służbie komunikacyjnej z Gdynią
„POLOGNE” i „VIRGINIE”

Częste połączenia między Ha-
wrem i Gdynią — Rygą-Kłajpadą.
W sezonie lotnim komunikacja do Leningradu.

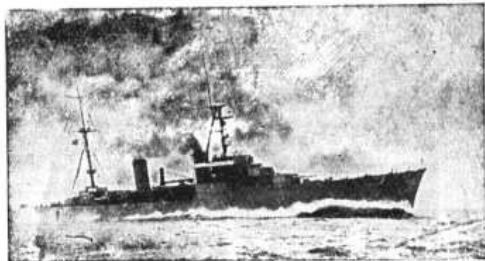
Na żądanie wysyła się bezpłatnie
prospekty i rozkłady jazdy.

Po informacje zgłaszać się

„Cie Gle Transatlantique”

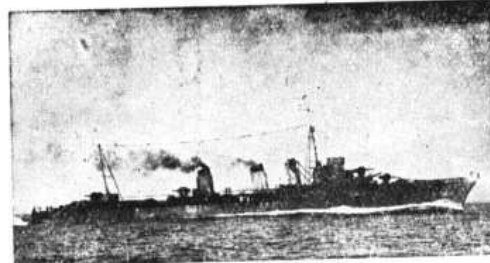
Paris — 6, rue Auber
oraz do Oddziałów

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Maszyny i kotły dla krążowników „DUQUESNE”
„TOURVILLE” (36 węzł.) — najszybszych w świecie
(Atel. et Chant. de Bretagne i Sté. Gie de Constructions
Mécaniques).

STOCZNIE I WARSZTATY
NANTES
(L. I.)
LE TRAIT
(S. I.)
LA COUR-NEUVE
(SEINE)



KONTRTORPEDOWIEC „GERFAUD” (42,8 węzłów,
NAJSZYBSZY W ŚWIECIE OKRĘT WOJENNY Ateliers
et Chantiers de Bretagne).

— ATELIERS ET CHANTIERS DE BRETAGNE —
— ATELIERS ET CHANTIERS DE LA SEINE MARITIME (Worms & Cie) —
— SOCIÉTÉ GÉNÉRALE DE CONSTRUCTIONS MÉCANIQUES —

Dawne Zakłady E. Garnier i Faure Beaulieu — Aparaty Rateau.

Krażowniki, Kontrtorpedowce, Torpedowce, Awizo, Kanonierki, Łodzie podwodne, Statki pasażerskie, towa-
rowe, statki cysternowe, Trawlery, Holowniki, Jachty, Pogłębiarki, Turbiny systemu Rateau i Bauer-Wach;
Motory Diesla typu M. A. N.



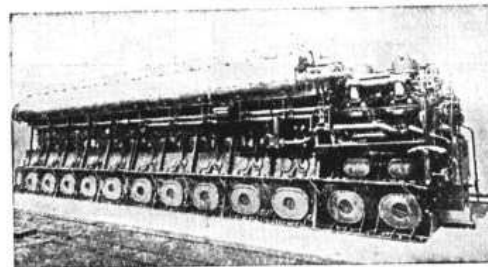
„Antlope” łódź podwodna marynarki wojennej francus-
kiej. (Ateliers et Chantiers de la Seine Maritime).

ZARZĄD GŁÓWNY
PARIS [8-0]

55.

BOULEVARD
HAUSSMANN.

WSZELKIE ZAPYTANIA
NALEŻY KIEROWAĆ
POD TYM ADRESEM



Motor typu M. A. N. o sile 3000 H. P. do łodzi pod-
wodnych. Wylączność na Francję S-té G-le de Constr.
Mécan.

Zarząd Główny Ligi Morskiej i Kolonjalnej

posiada jeszcze na składzie
pewną ilość olekowej gry

„Bitwa Morska”

CENA ZŁ. 6, DLA CZŁONKÓW LIGI M. I K. ZŁ. 5.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Zamówienia należy kierować pod adresem Zarządu
Głównego

LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

Warszawa, Nowy-Świat 35, tel. 315-88

który niezwłocznie uskuteczni wy-
syłkę, za zaliczeniem pocztowym.

Zarząd Główny Ligi Morskiej i Kolonjalnej

posiada na składzie książkę

JERZEGO MOLEŃSKIEGO

„MORZE I POMORZE”

z przedmową gen. G. Orlicz-Dreszera i z czterema
tablicami ilustrującymi prawa
Polski do ziemi Pomorskiej.

— Wydanie ozdobne, z licznymi ilustracjami. —

CENA ZŁ. 16 CENA ZŁ. 18

Każdy nabywca „Morza i Pomorza” za pośrednictwem
Ligi M. i K. przyczynia się do powodzenia propagandy
polskiej za oceanem, gdyż wzamian za egzemplarz
tego wartościowego dzieła, nabyty w kraju, Liga
Morska i Kolonjalna ofiarowuje taki sam egzem-
plarz księżki wychodźtwa Północno-Amerykańskiemu
z tekstem polskim i angielskim.

Zamówienia należy kierować do biura Zarządu Głównego
wpłacając jednocześnie należność na konto
„Funduszu Kolonjalnego” Nr. 1030 i podając, na jaki
cel wpłacono pieniądze.

Wydawnictwa morskie

Nakładem Instytutu Wydawniczego Pań-
stwowej Szkoły Morskiej w Gdyni

WYSZŁY:

	Zł. gr.
K. Bielski — Turbiny parowe	19.—
— Mechanika teoretyczna	16.—
— Prawidła wykon. rysunk. maszynowych	1.—
St. Dłuski — Dewiacja kompasu	8.30
A. Garnuszeński — Budowa okrętu	4.55
— Teoria okrętu	4.25
A. Hryniewicz — Zarys meteorologii	5.20
— Zarys oceanografii	14.50
G. Kański — Opisowy kurs lekcji	6.50
T. Kokiński — Gospodarka maszynowa na statkach	14.—
A. Ledóchowski — Kurs nawigacji	7.—
— Astronomia żeglarska	7.—
Dr. Al. Majewski — Prawo morskie	15.—
— Monografia Państwowej Szkoły Morskiej	10.—
Dr. Al. Majewski — Informator dla kandy- datów na oficerów marynarki handlowej	3.—
R. Piętkowski — Visit of a Dockyard	2.50
Ustawa o służbie marynarza	2.50
Handel morski w praktyce	5.—
Statut Państwowej Szkoły Morskiej	0.80
Program wymagań przy egzaminie wstępnym i opis uniformy	1.—

Podręczniki te można nabywać:

W INSTYTUCIE WYDAWNICZYM PAŃSTWOWEJ SZKOŁY
MORSKIEJ W GDYNI

(Konta czekowe P. K. O. Nr. 50.908)

Koszty przesyłki poleconej 1.30 zł.

PRZEGLĄD MORSKI

ORGAN MARYNARKI WOJENNEJ

wydawany przy

SZKOLE PODCHORAŻYCH
MARYNARKI WOJENNEJ

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową rocznie 40 zł.

„ półrocznie 21 „

„ kwartalnie 11 „

Bez przesyłki pocztowej rocznie 36 zł.

„ półrocznie 13 „

„ kwartalnie 9 „

SKŁAD REDAKCJI:

Redaktor naczelny - kdr. por. Korytowski Karol

Zastępca redaktora naczelnego i wydawca

— kdr. ppor. dypl. Kłossowski Jerzy

Sekretarz redakcji — por. mar. Stanisław Zygmunt

ADRES REDAKCJI:

TORUŃ, SZKOŁA PODCHORAŻYCH
MARYNARKI WOJENNEJ

Konto P. K. O. 100200

INSTYTUT WYDAWNICZY LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

poleca następujące prace:

St. Kwaśniewski — Kilka uwag o żegludze śródlądowej w Polsce	Zł. 0.75	Adam Uziembło — Nasza przeszłość i przyszłość na morzu	Zł. 0.50
Bronisław Sotkowski — Przemysł i handel rybny na wybrzeżu	1.50	K. Głuchowski — Wśród pionierów polskich na Antypodach	15.—
J. Borowik — Trzeba ruszyć z miejsca sprawę rozwoju rybactwa morskiego	0.50	A. Ryłke — Morze, to nowy teren pracy dla robotnika polskiego	0.20
Kazimierz Demel — Narzędzia i metody łowu ryb	0.95	Gra towarzyska „Bitwa morska” (dla członków L. M. i K. — zł. 5.—)	6.—
M. B. Lepecki — Opis stanu Espírito Santo	3.—	Z. J. Tyszel — „Pod ojczyzną banderą”	5.—
F. Rostkowski — Zarys organizacji przedsiębiorstw żeglugi morskiej	3.—	B. Krzywicz — Sprawa obrony morskiej w Polsce w przeszłości i obecnie	1.20
Edward Słoiński — Zaślubiny Polski z morzem zł. 1 — w opr.	1.30	M. Fularski — Kryzys emigracyjny, a polska polityka kolonialna	1.—
H. Bagiński — Zagadnienie dostępu Polski do morza	10.—	Fr. F. Lyp — Wiadomości o wysokim płaskowyżu Angoli	1.20
E. Kwiatkowski — Polska na Morzu	0.50	G. Orlicz-Dreszer — Program Ligi Morskiej i Kolonialnej	0.50
E. Kwiatkowski — Trzymajmy się morza	0.50	H. Tetzelaff — Zagadnienia morskiej polityki Polski	0.50
J. Korwin-Kamieński — Zagadnienie morskie w Polsce	1.—	W. Roślowski — O zamorski program gospodarczy Rzeczypospolitej	0.90
Z. Dunin-Marcinkiewicz — Polska i jej dostęp do morza w świetle historycznym, etnograficznym i gospodarczym	1.50	L. Gustowski — Na morze, Gdańsk, Gdynia — Od Warszawy do Sahary	4.—
St. Poraj — Pomorze a Polska we wczesnej dobie dziejowej	1.—	Dr. A. Jarzyna — Peru	1.50
A. Debczyński — Dwa lata w Kongo	6.50	J. Rummel — Gdynia port polski, 1927 r.	5.—
Józef Szczepański — Z dziejów marynarki w Polsce przedrozbiorowej	0.50	S. Skarżyński — 25770 km. ponad Afryką	6.—
Józef Szczepański — Powrót na odwieczny nasz Bałtyk	0.50	S. Wojciechowski — Flota handlowa w Polsce, 1927 r.	0.50
Jerzy Kurnatowski — Ustrój polityczny Francji	0.50	Pr. Lyp — Angolia	8.—
		— Brazylia	7.—

oraz Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego:

W. Stopczyk — Handel międzynarodowy na Bałtyku	Zł. 12.—	Prace zbiorowe pod redakcją:	
K. Smogorzewski — Propaganda korytarzowa zagranicą	2.50	J. Borowika — Obrona Pomorza	Zł. 20.—
A. Siebenelchen i H. Strassburger — Spór o Gdynię	15.—	— Polskie Pomorze, t. I	25.—
Pełnomocnik Administracji „Morza” posiada na składzie pewną ilość roczników „Morza” za lata ubiegłe, w pięcienną oprawie po cenie: zł. 18.—, oraz pocztówki propagandowe na cele rozbudowy Marynarki Wojennej.		— Przeciw propagandzie Korytarzowej	10.—
Widoki Gdyni (serje po 5 sztuk)	1.00	Pierwsza polska łódź podwodna „Wilk” (wg akwareli Marin'a) sztuka	Zł. 0.30

DO NABYCIA W ZARZĄDZIE GŁÓWNYM LIGI MORSKIEJ I KOLONJALNEJ

w Warszawie, ul. Nowy Świat 35, III piętro.

UWAGA: Instytut Wydawniczy L. M. i K. wysyła wymienione książki i broszury oraz pocztówki za załączeniem pocztówki odpowiadającej do ich ceny koszty przesyłki wzgl. po uprzednim nadesłaniu znaczków pocztowych. Przy większych zamówieniach — rabat. Od Wydawnictw Instytutu Bałtyckiego rabatu się nie udziela.

PRENUMERATA: Rocznie zł. 12.—, półrocznie 6.—, kwartalnie 3.—. Członkowie L. M. i K. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

CENNIK OGŁOSZEŃ:

Znaleziono na: www.magemar.com.pl	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16	str.
za tekstem	600	320	170	90	50	zł.
4 str. okładki	800	420	220	—	—	—
3 . . .	700	370	190	—	—	—

Ogłoszenia w tekście i fantazyjne, oraz tabele — 10% drożej.

Konto Administracji w P. K. O. 97-47, Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy Świat Nr. 35, III piętro. Telefon: Redakcji 533-40 i Administracji 315-88. Redaktor, lub zastępca redaktora, przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki, w godz. 18—20. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: LIGA MORSKA I KOLONJALNA.

REDAKTOR: HENRYK TETZELAFF.

Saleziańska Szkoła Graficzna. Warszawa, ul. Ka. Siemca 6 Tel. 337-72